

VaritArt

pismo kulturalno-literackie
nr 04/2025 (69)

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
W OLSZTYNIE



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Czy klimat zostawia ślad w ludzkiej mowie?

Biolog myślący o śladach zapewne wspomni ślady zwierząt na piasku czy na śniegu lub o odciskach palców wykorzystywanych w pracach detektywistycznych. Ale czy klimat może zostawić ślad w językach różnych ludów? I nie chodzi o słowa, odnoszące się do roślin lub zjawisk, bo oczywistym jest i dawno poznany, że ludy stepowe miały więcej słów, odnoszących się do roślin stepu, a ludy ze strefy lasy więcej własnych nazw drzew.

Język jest jak mapa, na której zapisane są nie tylko dzieje ludów, lecz także warunki środowiska, w których te społeczności żyły. Klimat, choć działa subtelnie, potrafi odcisnąć swoje piętno na fonetyce i rytmie mowy. Gdy spojrzymy na konkretne języki, zobaczymy, że ich brzmienie jest w pewnym sensie echem krajozrazu i pogody.

W tropikalnych strefach Azji Południowo-Wschodniej języki takie jak tajski czy wietnamski wyróżniają się bogatym systemem tonów i melodyjną intonacją. Wilgotne powietrze sprzyja rezonansowi głosu, a śpiewna prozodia pozwala odróżniać znaczenia w gęstym akustycznie środowisku. Podobnie języki Polinezji, jak hawajski czy samoński, posiadają wyjątkowo dużo samogłosek, co nadaje im płynność i miękkość. Wystarczy posłuchać słowa „aloha”, aby poczuć, jak klimat wysp tropikalnych odbija się w brzmieniu mowy.

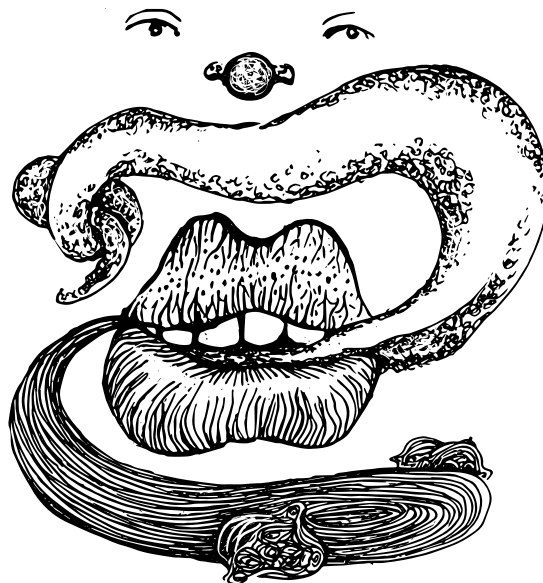
Na drugim biegunie znajdują się języki arktyczne, takie jak grenlandzki czy różne odmiany inuickie. Tam, gdzie powietrze jest suche i zimne, a komunikacja często odbywa się w trudnych warunkach pogodowych, język staje się bardziej spółgłoskowy, z krótkimi i zwartymi sylabami. Twarde brzmienia są wyraziste i oszczędne, co sprzyja skutecznej wymianie informacji w środowisku, gdzie głos łatwo się rozprasza. I oszczędza struny głosowe.

Migracje ludów pokazują, jak te fonetyczne ślady klimatu przenoszą się i ulegają przekształceniom. Ludy tureckie, które wywędrowały z Azji Środkowej na Bliski Wschód i do Europy, przyniosły ze sobą języki o bogatej harmonii samogłoskowej. W nowym klimacie, bardziej zróżnicowanym, system ten częściowo się zachował, ale uległ modyfikacjom pod wpływem kontaktów kulturowych. Z kolei języki romańskie, wywodzące się z łaciny, rozwijały się w basenie Morza Śródziemnego, gdzie łagodny klimat sprzyjał rozciągniętej prozodii i miękkim samogłoskom. Gdy

łacina dotarła wraz z kolonizacją do Ameryki Południowej, jej melodyjność spotkała się z tropikalnym środowiskiem, co wzmocniło śpiewność hiszpańskiego i portugalskiego w tamtym regionie.

Nie można też pominąć języków pustynnych, takich jak arabski. W suchym klimacie Półwyspu Arabskiego język rozwinął bogaty system spółgłosek gardłowych i emfatycznych, które są wyraziste i odporne na rozproszenie w otwartym, pustynnym krajobrazie. Te cechy pozostały w arabskim nawet po migracjach do innych stref klimatycznych, stając się trwałym śladem środowiska, w którym język się narodził.

Mowa jest więc nie tylko świadectwem kultury, lecz także zapisem klimatu i migracji. Tajski ton, inuicka spółgłoska, polinezyjska samogłoska czy arabska gardłowość – wszystkie te elementy są jak kamienie milowe na drodze ewolucji języka, pokazujące, jak człowiek dostosowywał swoje głosy do świata, w którym żył. W każdym słowie kryje się echo dawnych lasów, pustyń i mórz, które ukształtowały naszą mowę i nadały jej niepowtarzalne brzmienie. ■



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Czy klimat zostawia ślad w ludzkiej mowie?

04 WYWIAD

Z JERZYM KIELBIKIEM rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

07 FELIETON

KRZYSZTOF KAPINOS: Echo Leśnych Biegów

08 POEZJA

REMIGIUSZ NAPIÓRKOWSKI: Sonety

JAN ROSŁAN: Późne wiersze prozaika

11 PROZA

JAN ROSŁAN: Wróżbita

14 POEZJA

VOYTHEQUE HIĚRONYMOUS BORKOVSKĪ D'ERMLAND: Wiersze

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

NATALIA TEJS: Ślady w krajobrazie Warmii

16 GALERIA

NATALIA TEJS: Niedeski

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Wodne opowieści

20 INICJATYWA

ANITA ROMULEWICZ: Recepta na rozwój

22 FELIETON

MARY RUMI: Wielo-śląd, jedno-śląd

24 RECENZJA

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA: Opowieść o przemijającym świecie starowierców

26 REGION

IWONA BAGNIEWSKA: Sztynort – kamień, który pamięta

28 FELIETON

ANNA RAU: Mam tę moc

29 FILM

KATARZYNA GUZEWICZ: Nikt nie znika bez śladu

30 NA KOŃCU

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK: Zastanawiam się czasem...

„Nikt nie znika bez śladu” – to tytuł recenzji filmowej Katarzyny Guzewicz. Czy możemy takie stwierdzenie odnieść do świata, który nas otacza i rzeczy, które robimy?

Przygotowując kolejne numery naszego czasopisma, staramy się ocalić od zapomnienia różnorodne inicjatywy, miejsca oraz wydarzenia kulturalne. Gdy coś zostaje utrwalone w druku, ma moc przetrwania. I tak jak druki ulotne – zaproszenia, ulotki, anonse, listy – mówią o tym co robiliśmy, czym się zajmowaliśmy, pasjonowaliśmy, tak i my staramy się pozostawiać „kulturalne” ślady.

Często, aby się rozwijać, trzeba analizować to, co robiliśmy wcześniej, tak jak zrobiła to Anita Romulewicz w podsumowaniu Wojewódzkiego Programu Rozwoju Czytelnictwa na Warmii i Mazurach.

Pamięć zostaje wpisana w krajobraz – przykładem może być twórczość Natalii Tejs i jej *Niedesek* – w kamień, o czym pisze Iwona Bagniewska, w zapach, którego niezwykłą moc opisuje Anna Rau oraz w język, co udowadnia Stanisław Czachorowski. W końcu ślady pozostają w Kosmosie, jak w swoich rozważaniach snuje Mary Rumi. Jesteśmy częścią większej całości, zbiorowości, która uczy się od siebie nawzajem, a dziś przy dyskusyjnej pomocy wszechobecnej AI.

Mamy nadzieję, że po śladach nas znajdziecie.

Redakcja kluczająca, ale nie zacierająca śladów.




VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 04/2025 (69)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.olsztyn.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Dziekiewicz, Krzysztof Kapinos,

Agnieszka Klisz, Anna Rau, Anita Romulewicz, Karolina Rogóż-Namiołko

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Nikola Szajnóg, druk typograficzny, ebru, 2025

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski, Olsztyn

Z JERZYM KIEŁBIKIEM, dyrektorem Instytutu Północnego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, rozmawia KAROLINA ROGÓŻ-NAMIOTKO

To nie są nasze korzenie. To jest przeszłość tego regionu



Fot. z archiwum Jerzego Kiełbika

Warmia i Mazury nie pozwalają się opowiedzieć prostą historią o ciągłości. To raczej opowieść o nakładaniu się losów, o pamięci, która bywa niepewna, i o tożsamości, która wciąż się tworzy. W rozmowie z Jerzym Kiełbikiem, dyrektorem Instytutu Północnego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, powraca jedno zasadnicze napięcie: między potrzebą pamiętania a świadomością, że nie wszystko, co było, jest „nasze”.

Jak dziś rozumie Pan misję Instytutu Północnego w kontekście badań i ochrony dziedzictwa Warmii i Mazur?

– Misja w gruncie rzeczy się nie zmienia. Instytut Północny jest bezpośrednim kontynuatorem Ośrodka Badań Naukowych i od samego początku chodzi o jedno: o zachowanie pamięci o przeszłości regionu. Zmieniają się metody, zmienia się sposób działania, ale cel pozostaje ten sam.

Ta misja realizuje się na kilku poziomach. Po pierwsze: gromadzenie. Pamiętki, książki, dokumenty, ale także tworzenie źródeł – poprzez wywiady, rozmowy, zapisywanie relacji. Bez tego nie ma punktu wyjścia do dalszej pracy. Drugi element to badania: zadawanie pytań przeszłości, próby zrozumienia procesów, które tu zachodziły. A skoro gromadzimy i badamy, to trzecim filarem musi być udostępnianie – otwarte, transparentne, zachęcające innych do sięgania po te zasoby. Coraz ważniejszym elementem jest też edukacja. Nie tylko tekst naukowy, ale także wystawy, publikacje popularnonaukowe, formy uproszczone w języku, ale nie w jakości. To uproszczenie nie może oznaczać spłylenia. Informacja musi być sprawdzona, zrecenzowana, bo tylko wtedy mówienie o przeszłości ma sens.

Czym według Pana wyróżnia się historia tej części Polski na tle innych regionów?

– Każdy region czuje się wyjątkowy, to naturalne. Ale jeśli spojrzymy chłodno,

wiele elementów się powtarza. Możemy porównywać Warmię i Mazury z różnymi obszarami Niemiec, ze Śląskiem, z dawnymi Prusami Królewskimi. Wyjątkowość tego regionu wynika raczej z długiego trwania pewnych procesów. To obszar tworzony przez Zakon Krzyżacki we współpracy z Kościołem katolickim na Warmii, z rozwiązaniami, które ukształtowały się w XVII wieku i trwały przez kolejne stulecia. Architektura z czerwonej cegły, która dla mieszkańców staje się czymś niemal intuicyjnie „swojskim”, też jest częścią tej opowieści. Ale nie czyni nas absolutnie odrębnymi – raczej wpisuje w szerszy kontekst.

Czy w lokalnych społecznościach dostrzega Pan dziś potrzebę powrotu do korzeni, odkrywania własnej przeszłości rodzinnej i regionalnej? Coraz częściej mówi się o „odzyskiwaniu” warmińsko-mazurskiej tożsamości – jak Pan patrzy na te próby z perspektywy historyka?

– To pytanie jest bardzo ważne, ale wymaga dużej ostrożności. Bo kiedy mówimy o „powrocie do korzeni”, łatwo wpaść w pułapkę myślenia, że te korzenie są tutaj, że wystarczy je odkopać, nazwać i uznać za własne. Tymczasem w większości przypadków to nie są nasze korzenie. To jest przeszłość tego regionu – i to zasadnicza różnica.

Związek większości dzisiejszych mieszkańców z Warmią i Mazurami datować można na około osiemdziesiąt lat. Ich rodzinne historie zaczynają się w zupełnie innych miejscach: w centralnej Polsce, na dawnych Kresach, na terenach dzisiejszej Ukrainy czy Białorusi. Te korzenie są realne, osobiste, często bolesne. Natomiast przeszłość Warmii i Mazur – mazurska, warmińska, pruska, niemiecka – jest zastana. I nie ma w tym nic złego, o ile potrafimy to rozróżnić.

To, co obserwuję dzisiaj, to raczej proces tworzenia nowej tożsamości niż powrotu do dawnej. Ludzie próbują ośwoić przestrzeń, w której żyją, zrozumieć ją, nadać jej sens. Czasem sięgają po elementy dawnej kultury regionu – gwarę, symbole,

historię – ale to nie jest ciągłość w sensie kulturowym. To jest mniej lub bardziej świadomy kulturowy wybór.

I to jest w porządku, pod warunkiem, że nie udajemy, iż mamy do czynienia z prostym dziedziczeniem. Historia Warmii i Mazur została w 1945 roku brutalnie przerwana. Nie da się jej „skleić” na nowo bez świadomości tej przerwy. Możemy ją poznawać, badać, opisywać, szanować – ale nie powinniśmy mówić, że do niej wracamy. Bo żeby wrócić, trzeba z czegoś wyjść.

Jak mówić o trudnym dziedzictwie regionu – wielokulturowości, zmianach granic, przesiedleniach – uczciwie i wrażliwie?

– Bez romantyzowania i bez uciekania od faktów. Dobrym przykładem jest wagon kolejowy postawiony przez Miejski Ośrodek Kultury. Włączyliśmy się w ten projekt merytorycznie, bo idea była ważna: opowiedzieć o ludziach, którzy przyjechali. Wagon jako symbol jest czytelny – pokazuje ruch, zmianę, wyjazd i przyjazd. Tyle że większość ludzi tu nie przyjechała wagonami. Około 30 procent stanowili przesiedleńcy ze wschodu, reszta to głównie mieszkańcy centralnej Polski.

Trzeba mówić o dramacie 1945 roku jako tragedii dwóch narodów. Mieszkańców Prus Wschodnich, którzy zostali dotknięci brutalną zmianą, i ludzi, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich domów i przyjazdu tutaj. Jedni uciekali przed wojną, drudzy szukali lepszego jutra. To są historie trudne, czasem tragiczne, czasem anegdotyczne – ale anegdota nie może przestonić skali cierpienia.

Jakie ślady historii są dziś najbardziej zagrożone zapomnieniem?

– Zdecydowanie dziedzictwo niematerialne. To ono znika najszybciej i w sposób nieodwracalny. Gwara, lokalne zwyczaje, sposoby mówienia, drobne praktyki codzienności, opowieści przekazywane z ust do ust – wszystko to odchodzi razem z ludźmi, którzy byli ich nośnikami. Możemy je zapisywać, dokumentować,

przywoływać na wystawach czy w publikacjach, ale one nie wrócą już do naturalnego obiegu życia codziennego.

Gwara w tym sensie jest martwa – nie dlatego, że przestała istnieć jako przedmiot badań, ale dlatego, że nie jest już językiem komunikacji. Świat, w którym była potrzebna, po prostu zniknął. Zmieniło się otoczenie, zmieniły się relacje społeczne, zmienił się sposób życia. Tak samo znikają dawne ścieżki, dróżki, krajobraz kulturowy w jego najdrobniejszych, niepozornych przejawach. To są rzeczy, które nie znikają spektakularnie – one po prostu przestają być używane.

Rolą historyków, badaczy, ludzi kultury, ale też dziennikarzy, jest dziś pamięć i przypomnienie. Tłumaczenie, dlaczego coś było ważne, w jakim świecie funkcjonowało, co znaczyło dla ludzi, którzy tu żyli. Nie chodzi o to, by próbować przywracać te elementy na siłę, bo to byłoby fałszowanie rzeczywistości. Chodzi o to, by je rozumieć i umieć o nich opowiadać.

Jeżeli będzie zainteresowanie – pamięć nie ulegnie zapomnieniu. Ale musimy mieć świadomość, że świat się zmienia, a wraz z nim zmienia się także przestrzeń, w której żyjemy, nasze wyobrażenia i potrzeby. Dziedzictwo niematerialne nie znika dlatego, że ktoś je zaniedbał. Ono znika dlatego, że zmienił się sposób życia. Naszym zadaniem jest sprawić, by nie zniknęło także z pamięci.

Jakie obiekty, miejsca, archiwa lub pamiątki są kluczowe dla zrozumienia historii regionu?

– Archiwa są rozproszone: Berlin, Szwecja, Olsztyn. Archiwum Archidiecezji Warmińskiej, Archiwum Państwowe, nasze zbiory. Ale równie ważne są archiwa domowe: zdjęcia, listy, pamiątki. Zawsze powtarzam – zanim coś wyrzucimy, obejrzyjmy to dwa razy.

Jeśli chodzi o miejsca, jednym z moich ulubionych są Bezlątki. Dawna kaplica zamkowa, potem kościół katolicki, następnie luterński i znów katolicki. W jednym

obiekcie spotykają się dzieje zakonu krzyżackiego, reformacji i katolicyzmu na Mazurach. Takich nieoczywistych miejsc jest w regionie więcej.

Jakie projekty badawcze Instytutu uważa Pan za najważniejsze – te, które szczególnie pomagają odkrywać ślady historii Warmii i Mazur?

– W tej chwili jednym z najważniejszych projektów, który inicjujemy i który od przyszłego roku stanie się stałym elementem działalności Instytutu jest regionalny słownik biograficzny Warmii i Mazur. To przedsięwzięcie długofalowe, wymagające czasu, konsekwencji i bardzo jasnych zasad metodologicznych.

Chcemy stworzyć bazę rzetelnych, opracowanych naukowo biogramów osób związanych z historią regionu – zarówno tych powszechnie znanych, jak i tych zupełnie zapomnianych, którzy działali lokalnie, ale realnie współtworzyli tutajszą rzeczywistość. Punktem wyjścia są oczywiście wcześniejsze prace, przede wszystkim dorobek profesora Tadeusza Orackiego, ale nie chcemy się na nich zatrzymać. To ma być projekt otwarty w czasie, systematycznie uzupełniany i rozwijany.

Od początku przyjęliśmy zasadę, że nie będzie to forma popularnej encyklopedii internetowej. To nie ma być Wikipedia, do której każdy może coś dopisać. Biogramy będą przygotowywane według jednolitych kryteriów, recenzowane, oparte na źródłach. Zależy nam na tym, aby miały realną wartość naukową, a jednocześnie były dostępne dla szerokiego grona odbiorców.

Historia się nie kończy – ona cały czas się toczy. Wciąż pojawiają się nowe postacie, nowe materiały, nowe konteksty. Ten słownik ma być właśnie takim fundamentem: miejscem, do którego będzie można wracać, z którego będą korzystał kolejni badacze i które pozwoli opowiadać historię Warmii i Mazur w sposób uporządkowany, ale nie zamknięty.

Jak nowoczesne technologie zmieniają badania nad przeszłością?

– Trudno mi powiedzieć, czy technologie zmieniają interpretację – w tym sensie, że same nie tworzą nowego spojrzenia na przeszłość. One przede wszystkim zmieniają dostęp do źródeł. W naszym przypadku świetnym przykładem jest „Hartungsche Zeitung”, gazeta wydawana w Królewcu, zawierająca informacje z całego regionu. To gazeta codzienna, wydawana na bardzo wrażliwym papierze, którego manualne udostępnianie jest praktycznie niemożliwe – każdy egzemplarz

przy kontakcie z czytelnikiem ulega uszkodzeniu. Dzięki digitalizacji te materiały stają się dostępne dla wszystkich, co pozwala prowadzić badania, które kiedyś byłyby nierealne. Możemy na nowo pisać lokalne historie, rekonstruować życie społeczności XIX i XX wieku, a także zweryfikować wcześniejsze opracowania.

Problemem dziś nie są źródła – problemem są ludzie, którzy potrafią je czytać i analizować. Digitalizacja daje ogromne możliwości, ale nadal potrzebni są badacze z wiedzą, kompetencjami językowymi i metodologicznymi, którzy są w stanie wyciągnąć wnioski z tych dokumentów. To wymaga warsztatu, cierpliwości i znajomości kontekstu historycznego.

Jak widzi Pan przyszłość badań nad historią regionu? Czy stoją przed nami nowe wyzwania?

– Zawsze są nowe wyzwania. Historia nie jest czymś skończonym, zawsze pojawiają się nowe materiały, nowe perspektywy, a czasem zmienia się sposób, w jaki patrzymy na to, co już znamy. Na przykład w tym roku rozpoczęliśmy projekt wydania krytycznego dzieła Krzysztofa Hartnocha „Altes und Neues Preussen” z 1684 roku. To książka o historii Prus starych i nowych, o kolonizacji, biografiach, o społeczeństwie do połowy XVII wieku. Opracowujemy ją ponownie, ale w sposób krytyczny: weryfikujemy fakty, wskazujemy ewentualne błędy, próbujemy spojrzeć na historię inaczej, z perspektywy, jaką dziś mamy dzięki nowym badaniom. To pokazuje, że nawet temat, który wydaje się wyczerpany, nigdy nie jest naprawdę skończony. Za kilkanaście lat ktoś może podejść do tego jeszcze inaczej, odnaleźć nowe źródła poboczne i odkryć coś, co teraz jest poza naszym zasięgiem. Problem jest też natury praktycznej: mamy mnóstwo tematów do opracowania, ale nie zawsze wystarcza nam badaczy. Ludzie są potrzebni do czytania źródeł, do pisania interpretacji, do krytycznego spojrzenia na przeszłość. Tak naprawdę historia regionalna wymaga ciągłej pracy, cierpliwości i pasji.

Jak chciałby Pan, aby Warmia i Mazury były opowiadane w przyszłości – czego życzy Pan tym ziemiom?

Przed wszystkim życzę im badaczy, ludzi, którzy będą dociekliwi, wrażliwi i cierpliwi. Chciałbym, żeby była moda na badania naukowe i aby historia regionu była opowiadana w sposób rzetelny, pełen kontekstu, bez uproszczeń i romantyzowania. ■

KRZYSZTOF KAPINOS

Echo Leśnych Biegów

— Stadion, którego nie ma, a jednak jest



Rys. Joachim Martusewicz

Nie urodziłem się w Olsztynie. Przyjechałem tu kiedyś i zostałem. Może dlatego Stadion Leśny przemawia do mnie szczególnie – jak miejsce, które także nie jest „stąd”, a jednak zapuściło korzenie.

Pierwszy raz trafiłem tu przypadkiem. Las nagle się rozstał i pojawiło się coś, co wyglądało jak zapomniany amfiteatr. Betonowe ślady po trybunach, bieżnia ledwie widoczna pod trawą. Stadion, który nie prosi o uwagę. Raczej sprawdza, czy potrafisz zwolnić i spojrzeć uważnie. Czas zachowuje się tu inaczej. Nie płynie – raczej osiada. Na murawie, w pęknięciach betonu, na schodach, po których nikt już nie wchodzi. A przecież to miejsce powstało z ambicji. W 1920 roku zbudowano stadion w samym środku lasu, jakby ktoś chciał powiedzieć, że sport i natura mogą ze sobą rozmawiać szeptem, bez megafonów. I przez lata rzeczywiście rozmawiały. Tu biegano szybciej, skakano dalej, rzucano mocniej niż gdziekolwiek indziej. Rekord świata w pchnięciu kulą, rekord świata w trójskoku. Liczby dziś brzmią sucho, ale kiedyś miały ciężar ciała i potu. Miały oddech publiczności, która siedziała na zboczach, wtulona w las, jakby chciała być jego częścią. Sport nie był widowiskiem. Był wydarzeniem wspólnotowym.

Po wojnie stadion znów się zapełnił. Przyjechali ludzie z różnych stron, z różnymi historiami. Niektórzy stracili swoje miasta, inni tylko drużyny, którym kibicowali. Tutaj próbowali zacząć od nowa. Biegali, grali, spotykali się. Stadion pomagał im uwierzyć, że ciągłość jest możliwa.

Dziś nie pomaga już nikomu. A może pomaga inaczej. Uczy, że nic nie trwa wiecznie – ani rekordy, ani trybuny, ani pewność, że coś „zawsze będzie”. Las robi swoje. Bez złośliwości. Po prostu rośnie.

Czasem ktoś próbuje przywrócić temu miejscu dawny blask. Organizuje festyn, stawia tablicę, opowiada historię. To gesty potrzebne, choć skazane na niepełność. Bo nie da się wskrzesić chwili. Można ją tylko pamiętać.

Jako olsztyniak z wyboru myślę, że właśnie dlatego to miejsce jest mi bliskie. Stadion Leśny nie udaje, że jest tym, czym był. Jest tym, czym został. Jak miasto. Jak my sami. Jeśli podeszdziesz bliżej i posłuchasz uważnie, usłyszysz echo kroków. Krótkie. Nieśpieszne. Wystarczające. ■

REMIGIUSZ NAPIÓRKOWSKI

SONETY

G-DUR

Zaszył się pajak w ustach, karczemny śmiech gaśnie.
Cisza kroczy z klekotem po kamiennej drodze.
W cieniu dłoni się jątrzy starej rany niecka.
Dla kogo jest koryto, czyje są niebiosy?

Szept gęstnieje w klepsydrze, piach żarna zasypał.
Głód się chyłkiem zagnieździł w chlebobdajnej dzieży.
Dziecko palcem uderza w spróchniałe pianino.
Kona echo rubaszne, horyzont zanika.

Murszeje postaw w krosnach, popiół w zgłiszczu wzrasta.
W gąszczu brwi się zagoił żyzny strup pamięci.
Dla kogo jest ta trumna, komu dzwon ten bije?

Ucichł wicher w pszenicy, galop głuchnie w polu.
Milknie menuet czasu, skrzypce chwast porasta.
Biel roztapia się w czerni, gaśnie oko nieba.

PÓŹNE WIERSZE PROZAIIKA

Na początku września otrzymałem od Remigiusza Napiórkowskiego listowną przesyłkę ze Szwecji wysłaną 24 sierpnia br. z 32 sonetami z prośbą o możliwą publikację. Byłem tym zaskoczony, bo do tej pory nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów. Odpowiedziałem na podany adres internetowy. Otrzymałem następującą odpowiedź: „List Pana do Remigiusza przyszedł kilka godzin po jego śmierci: 3 września 2025. Odpisuję ja, żona Remka, Zofia Napiórkowska. Neurolog powiedział mi, że przyczyną śmierci była choroba zwana: starość. Za trzy miesiące miałby 89 lat. Zapewne ucieszyłby się z listu. Zależało mu na opublikowaniu tych wszystkich sonetów, ale kilka też dobrze. To co wydrukowane zostaje, a niewydrukowane zjedzą mole”. Odpowiedziałem: „Sytuacja niespotykana, ale jakże literacka. Jakby z teatru Jerzego Szaniawskiego. Przesyłam szczere kondolencje”. Żona pisarza odpowiedziała: „Dziękuję za wyrazy współczucia. Remek nie chciał wrócić do Polski po śmierci. Prochy jego zostaną rozsypane w morzu w Sundzie, między Malmö a Kopenhagą. Tu chciał zostać, bo tu był szczęśliwy. Sprawom polskim poświęcał zawsze największą uwagę. Działaczem nigdy nie był, nie miał do tego charakteru”.

Remigiusz Napiórkowski urodził się 5 grudnia 1936 r. w Łasiewicach w rodzinie chłopskiej. W latach 1947-1951 był w sierocińcu prowadzonym przez księży salezjanów, co opisał w debiutanckiej powieści „Nie będzie płakania” (1964). Pisarz ukończył Państwowe Liceum Pedagogiczne w Pułtusku w roku 1955 i rozpoczął pracę jako nauczyciel w Dźwierzutach na Mazurach (powiat Szczytno). W roku 1959 wyjechał do Warszawy i podjął studia na Uniwersytecie Warszawskim na kierunku filozofia, których jednak nie ukończył. Debiutował opowiadaniem „Jesień i Mambo” opublikowanym w miesięczniku „Warmia i Mazury” (nr 7/1958). Henryk Panas, ówczesny redaktor naczelny tego

SAUNA

Mróz przysiadł w szparze serca, w żrenicach mgła taje.
W przeręblu nagi księżyc zamoczył swój ogon.
Pot splywa wrębą oka, jęczy wiatr w kominie.
Dokłada dREW do pieca łazibny zdumienia.

Modlą się gwiazdy w wodzie, ból się w dłoni skulił.
Lęk odchodzi z klekotem zrębem śnieżnej plaży.
Wyblakła smuga cienia, wiatr stracił na sile.
Tyś zyskał dom w tym miejscu, gdzieś się nie urodził.

Zaszył się smutek w rogu, ogień w piecu baje.
Płacze złotymi łzami sęk żywicznej deski.
Rwie się westchnienie w ustach, czas w krzywiznę wzrasta.

Tyś myślami daleko, choć nareszcie w domu.
Tarza się w syrkim śniegu dwóch starców rubasznym.
Tyś między nimi nagi i prawie niemowa.

ZWĄPIENIE

Co jest cięższe, niż ciężar, czy lekkość ma miarę?
Czy wszechświat wstał z niczego, czy nicość coś waży?
Skąd wziął się ten fajerwerk? Z drobnej ociupiny?
Kto miał zapalnik w ręku, kto skrzesał ten ogień?

Czy była wtedy przestrzeń, by gnieździć drobinę?
Bo nawet ziarnu piachu potrzeba przestrzeni.
Czy kruszyna spadała, czy szła sycząc w górę?
Jeśli nie ma spadania, to gdzie jest ciążenie?

Czy coś tam się zaczyna, gdzie nicość się kończy?
Nie ma czasu w krzywiźnie, nie ma we łzach bólu.
Różniczka jest poezją, kął prosty złudzeniem.

Na nic jest nocy czarnej migot światła świecy.
Czas jest bez kotyski, przestrzeń jest mu grobem.
Nie ma już tej jabłoni, z której jabłko spada.

1-3 luty, 2012

DLA AGATKI, EDYTKI I MARTUSI

Tam, za stodołą lęku, gdzie rój maków rośnie.
Gdzie się biedronki kurczą pod ulewą nocy.
Tam, gdzie w pszenicznym łanie kąkol żółcią broczy.
Zawsze sroga jest zima i miodowe przedwiośnie.

Tajemnicze tam rżyska po lesistych żytach.
Mrówki toczą tam wojny, pszczoły w ciszy brodzą.
Słońce się rankiem biesi, smutek noc łagodzi.
Ale by to zrozumieć, trzeba księgi czytać.

Ile w sercu tarniny mieści się rozpacz?
Gdy jęk się ozwie w trawie, gdy w chmurze zadudni.
Dlaczego granie rosy niesie się w przedświtach?

Kret wyczuje to w norze, jaskółka zobaczy.
Każdy liść to wnet zoczy, pojmie woda w studni.
Człowiek, by to zrozumieć, musi księgi czytać.

pisma, recenzując debiutancką powieść Napiórkowskiego w „Warmii i Mazurach” (nr 11/1964) wspominał, że w redakcji zjawił się „chudy pryszczaty młodzieniec o twarzy Indianina. Ubrany był lichy, ale za to miał ogień w oczach jak człowiek święty albo prorok lub coś w tym rodzaju”. Oznajmił, „że zamierza zostać pisarzem. (...) Deklarację przyjąłem z pewnym sceptycyzmem i pomyślałem sobie: o ile to nie jest poeta, to na pewno wariat lub też jedno i drugie razem. Fakt, że był wiejskim nauczycielem w Dźwierzutach stanowiło okoliczność obciążającą. Młodzian w lewej kieszeni marynarki miał Biblię, a w prawej Platona, czy też odwrotnie”. Panas dalej napisał, o wręczonym utworze: „Opowiadanie było bardzo słańskie, żeby nie powiedzieć grafomańskie. Zawierało jednak parę oryginalnych zdań i to je uratowało od redakcyjnego kosza”. Remigiusz Napiórkowski w latach 1964–1976 opublikował aż 18 książek, w tym dwa tomy opowiadań, trzy książki reporterskie, pozostałe to powieści. Oprócz tego w „Dialogu” ukazały się trzy jego utwory dramatyczne. Dużo podróżował, przez rok przebywał w Japonii na rządowym stypendium tego kraju. Zwiedzał kraje europejskie, Alaskę i daleki Wschód. Reportaże z tych podróży drukował w czołowych pismach społeczno-kulturalnych, które wtedy ukazywały się w Polsce. Jego literacką karierę przerwała Służba Bezpieczeństwa. Po powrocie z Japonii SB w czerwcu 1976 przeprowadziło rewizję w jego mieszkaniu, zablokowało możliwość wyjazdów zagranicznych. Jego żona wysłała do Anglii paczkę, w której też były anonimowe maszynopisy. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa doszli, kto był nadawcą paczki, a po zarekwirowaniu maszynopisów znalezionych w mieszkaniu i ich analizie byli przekonani, że krytykujące rząd PRL artykuły, mające być opublikowane na Zachodzie, były autorstwa R. Napiórkowskiego. Po roku 1976 nie opublikował już żadnej książki.

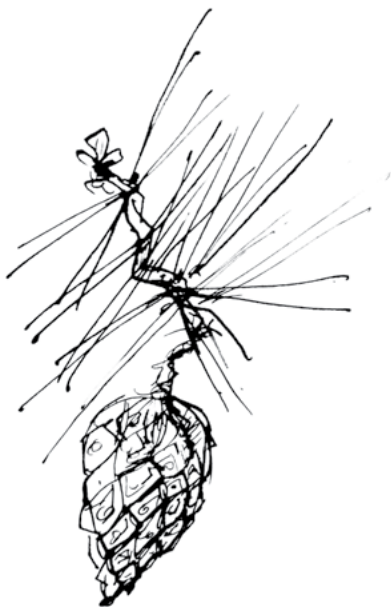
SOSNA

W ogrodzie mej przyszłości sosna będzie rosta.
I zbrojna karnym liściem sędziwa brzezina.
I wysmukłe ranliwe topolowe wiośło.
Cień skulonej w ciernistym popiele jeżyny.

I klon pełen po brzegi milkliwej rozpaczy.
Łzy, których mi napłaczę jarzębina dzika.
Nade wszystko jednakże sosnę chcę zobaczyć.
Cichy symbol czekania, prosty zapis krzyku.

Pień samotny, żarliwie poznaczony czasem.
Sęk żywiczny, w zarodku twardszy od kamienia.
Szum rubaszenie stłoczony w iglastej gałęzi.

Żywiczny splot korzeni zanurzony w czasie.
I jej wolność, i dumę, i czern jej zieleni.
Tutaczy cień na piachu, boleść na uwięzi.



Rys. Joachim Martusewicz

Wiersze pisał i drukował sporadycznie, nie wydał żadnego tomiku poezji. W „Warmii i Mazurach” z roku 1969 nr 6 odnalazłem jego wiersz zatytułowany „Przyjaźń”, gdzie jest taka fraza: „Chodzimy po wodach morza/ a fale liżą nasze stopy / jak lwy nogi Daniela”, bo nie unikał porównań i odniesień biblijnych. Do poezji wrócił w późnym wieku w Szwecji. Sam tak ocenił tę twórczość: „Kreśląc obraz świata bez horyzontu, tłących się zgłiszcz, wymartych pasiek, wyrąbanych sadów, byłem równie martwy i porażony”. Niewątpliwie te sonety nie mają optymistycznego przesłania, są katastroficzne. Pisane są trzynastozgłoskowym heksametrem, dziś jakby zaniechanym przez poetów, co wymaga jednak dużej dyscypliny stylistycznej. Do prezentacji wybrałem z przestanego zbioru (który czeka na wydanie) wiersze bardziej liryczne, trochę optymistyczne, z których jednak przebija optyka nieuchronności śmierci i zagłady całego świata. Pisarz bardzo przeżywał, gdy dowiedział się, że Służba Bezpieczeństwa prowadziła przeciwko niemu rozpracowanie operacyjne pod kryptonimem „Muzyk”. „Wiadomość o tym, jak moje życie bliskie było zniweczenia podziątała na mnie wyzwalająco. Napisałem jeszcze kilka sonetów o moim kraju, który obecnie przypomina kostnicę pełną błazeństwa i bufonady i o ludziach, którzy, ogryzając ruską kość pod stołem, zamieniają Polskę w bezdrożną pustynię”. Nie wiem, kiedy napisał te gorzkie słowa, ja je przeczytałem na początku września br. Był żeglarzem dosłownie i w życiu. Mam nadzieję, że znalazł swój port, bo szukał go bardzo długo. A w Olsztynie, w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej, jest w wypożyczalni tylko jedna książka R. Napiórkowskiego, powieść „Powroty”, wydana przez „Pojezierze” w roku 1966, przestana na konkurs literacki tu organizowany. Nagrody pisarz nie otrzymał, ale książkę wydano. W Instytucie Północnym są trzy pozycje R. Napiórkowskiego, ale można z nich korzystać wyłącznie w czyteln. Pierwsze dwa tomy opowiadań dotyczyły spraw krajowych („Poszukiwanie sprawiedliwych” i „Miejsce odzyskane”) i niektóre poruszały problematykę warmińsko-mazurską. Twórczość R. Napiórkowskiego jest odnotowywana i analizowana w publikacjach biograficznych i naukowych, które zajmują się pisarzami mieszkającymi w naszym regionie lub podejmującym regionalną tematykę. Debiutował jako literat opowiadaniem wydrukowanym w Olsztynie i na pewno ucieszyłby się – jak napisała mi jego żona Zofia – gdyby jego poezja była pożegnaniem z miastem, z którym onegdaj był związany. Taka literacka klamra. ■

Jan Rostan

JAN ROSŁAN

Wróżbita

Brygadzysta podszedł do mnie i powiedział: — O dwunastej masz się zameldować u dyrektora zakładu.

— A co się stało? — odpowiedziałem.

— Dowiesz się, gdy pójdziesz — tajemniczo odpowiedział.

W samo południe siedziałem w sekretariacie, czekając na wezwanie dyrektora. Obok mnie siedział chłopak, którego znałem z widzenia, bo razem spotykaliśmy się w bramie fabryki, ale żadnej znajomości z nim nie utrzymywałem. Ja pracowałem na montażu, czyli w cyklu produkcyjnym, on w dziale remontowo-gwarancyjnym.

— Też do dyrektora? — zapytałem.

— Tak — odpowiedział.

— A wiesz, po co?

— Nie wiem, nigdy mnie nie wzywał. Zrobiłem nawet rachunek sumienia, czy czegoś nie nabroilem, ale niczego sobie przypomnieć nie mogłem.

Otworzyły się drzwi dyrektorskiego gabinetu i weszliśmy do środka. Kazał usiąść i zaczął przemowę: — Sprawa jest poważna i mam nadzieję, że sprostacie zadaniu, jakie przed wami postawiono. Musimy dbać o dobre imię naszego zakładu, dlatego pracę trzeba wykonać rzetelnie i sumiennie — perorował. Spojrzałem na kolegę, on na mnie i nic nie rozumieliśmy. Dyrektor przemawiał do nas jak na jakimś partyjnym zebraniu. Wreszcie się chyba zorientował, że zagalopował się w propagandowej agitce i powiedział: — Słuchajcie. Wysyłam was w delegację na kilka dni. Pojedziecie w środę do Limanowej. Tam trzeba naprawić dwie maszyny naszej produkcji: rozsiewacz nawozów sztucznych i samowyladowacz. Naprawa gwarancyjna, choć trzeba rozpoznać, czy sami nie przyczynili się do awarii. Wyjedziecie w środę żukiem, dzień jazdy. Zakwaterowanie w hotelu Limanowa. W czwartek i piątek naprawicie maszyny, a w sobotę wróćcie do Dobrego Miasta. Wybrałem was, bo mam do was zaufanie, jesteście odpowiedzialnymi pracownikami... — spoglądając na nas, zauważył, jak się uśmiechamy. Przecież wcale nas nie znał.

— No dobrze, powiem otwarcie — wreszcie nowomowę dyrektor zamienił na normalne słowa. — Jesteście kawalerami, macie prawo jazdy, jeden pracuje na montażu, drugi na przeglądach gwarancyjnych, więc dobrze znacie konstrukcje maszyn. Wysyłam bardziej doświadczonych mechaników w delegację, żonatych, ale wtedy żony przychodziły i skarżyły się, że wysyłam ich mężów na pijaństwo. Wy tam żadnych pijackich imprez nie organizujcie, bo załoga hotelu telefonicznie zdaje mi zawsze sprawę z zachowania moich pracowników. Idźcie do głównej księgowej po delegację, którą wam zaraz podpiszę, niech da wam jakąś zaliczkę na wyżywienie. Rachunek za hotel będzie płacony przelewem, więc się nie martwcie, weźcie tylko rachunki na Warfagę za tankowaną benzynę. Wyżywienie macie we własnym zakresie, rozliczymy to ryczałtowo. Zameldujcie się u magazyniera, aby pobrać części zamienne, jakie przewidujecie do wymiany. Tu macie telefon do głównego mechanika POM-u w Limanowej. Nazywa się Józef Śniech. Zatelefonujcie z sekretariatu, może powie, co to za awaria i jakie części ewentualnie macie zabrać. Niech dyspozytor wyda wam dokumenty samochodu i kluczyki i jutro w drogę. Już na swoje stanowiska dziś nie wracajcie, a przygotujcie się do drogi.

Cóż było robić. Tylko spojrzeliśmy na siebie, nic nie mówiąc. Nawet nie pytał o naszą zgodę. Za długo tu nie pracowaliśmy, że nas sobie upatrzył na tę delegację, to nas dziwiło, bo po raz pierwszy otrzymaliśmy takie polecenie. Podejrzewam, że to brygadzysta polecił mnie dyrektorowi, bo on często w takowe delegacje był wysyłany i chyba miał dość tych wyjazdów.

Droga z Dobrego Miasta do Limanowej może zająć dzień, tym bardziej, gdy jedzie się rozklekotanym żukiem obciążonym narzędziami i częściami zamiennymi. Nie spieszyliśmy się, zatrzymując się na posiłki czy na kawę w zajazdach. Hotel nawet elegancki. Już znali nasze nazwiska, więc chyba dyrekcja rzeczywiście z nim współpracowała od jakiegoś czasu. W czwartek od rana wizyta w POM-ie. Nie wyglądało na to, że szybciej zreperujemy maszyny, a dyrektor, gdy wychodziliśmy

z jego gabinetu, burczucznie powiedział: — Jak ich nie naprawicie, to możecie u mnie się już nie pojawiać. Blisko osiem godzin zajęła nam naprawa samowyladowacza, powinniśmy już dać sobie wolne, pójść do hotelu i zjeść jakiś obiad.

— Słuchaj Jurek — bo tak nazywał się kolega — a może uda nam się do wieczora naprawić ten rozsiewacz nawozów, a gdyby to nam wyszło, to mamy cały piątek wolny, wszak delegację mamy do soboty. Hotel też opłacony. Zrobilibyśmy sobie jednodniowy urlop. Dzieci chyba za tobą nie płaczą — dodałem, powszechną mądrością to argumentując.

— Za tobą chyba też nie płaczą — odpowiedział — i wiedziałem, że przystał na tę propozycję. Pracowaliśmy prawie do północy, ale udało się maszynę naprawić. Marudził trochę dozorca, bo przychodził co pół godziny i pytał, kiedy skończymy, bo nie mógł przez nas zasnąć w swojej pakamerze. Ponadto musiał co pewien czas nam pomagać, przenosząc oświetlenie lub podtrzymując kabel oświetleniowy.

Na drugi dzień spaliśmy długo. Wolny dzień.

— Co robimy? — zapytałem. — Może pozwiedzamy okolicę, pochodzimy po pagórkach, wszak to Beskid Wyspowy i wzgórze przekraczające nawet tysiąc metrów nad poziomem morza. Wziąłem mapę i zacząłem czytać nazwy okolicznych miejscowości: Pisarzowa, Mordarka, Męcina, Piekiełko, Wojakowo, Wilkowiska, Ubiad, Świniarska. Zdecydowaliśmy się na wieżę widokową na szczycie Mogielicy.

Poszukiwaliśmy jakiegoś baru, aby zjeść obiad i postanowiliśmy pozwiedzać niektóre wsie o tak egzotycznych nazwach. W Michalczowej zatrzymaliśmy przy wiejskim sklepie.

— Może kupimy jakieś wino na wieczór — zaproponowałem. — Do jutra nie będzie po lampce wina w organizmie żadnego śladu.

Weszliśmy do sklepu. Przed nami jakaś starowinka pakowała zakupy. Niewiele miała tych towarów. Wyróżniał się chleb w siatce. Nagle upadł jej kij, do tej pory oparty o ladę. Jurek podniósł go z podłogi i podał staruszcze. Ta jakby dopiero teraz zorientowała się, że oprócz niej ktoś jest w sklepie. Podziękowała, patrząc ze zdziwieniem na nas.

— Może kupimy pół chleba, trochę wątrobianki i zjemy kolację w pokoju — zaproponował Jurek, na co przystałem. Oprócz wina i dwóch piw poprosił o pół bochenka chleba.

— A był pan zapisany? — zapytała sklepowa.

— Nie rozumiem.

— Panie, tu dzień wcześniej trzeba się zapisać na chleb. Ja zamawiam tyle, ile jest

zamówionych bochenków, bo co będę robić ze starym chlebem.

Jurek już nie dyskutował, tylko cicho powiedział: — Cóż, znam to z mojej wioski. Tymczasem starowina, która już wychodziła ze sklepu musiała słyszeć dialog Jurka ze ekspedientką i zawracając i powiedziała: — Ja panu odstąpię pół bochenka, bo dla mnie cały to za dużo, potem czerstwieje, a połówki tu sprzedawać nie chcę. Wyszliśmy razem ze sklepu. Staruszka podpierała się kijem, przygarbiona szła wolno.

— A panowie to pewnie nietutejsi — zapytała bardziej stwierdzając niż pytając.

— Nietutejsi — odpowiedział Jurek, który wyraźnie znalazł jakąś sympatię u babuszki.

— A z daleka?

— Z daleka. Prawie znad morza.

— O Boże, a ja nigdy na oczy morza nie widziałam i już nie zobaczę — smutno skonstatowała.

— My tu z daleka, nikogo nie znamy, ale czy nie ma w wiosce jakieś wróżki, bo my kawalerowie, chcielibyśmy się dowiedzieć, jaka żona nam się trafi i czy w ogóle ją mieć będziemy.

Staruszka przystanęła i zaczęła się nam dokładnie przyglądać. Ja byłem zaskoczony pytaniem Jurka, co on sobie nagle wymyślił.

— Wiecie — powiedziała — jest tu jeden wróż czy raczej był, bo chyba nie chce już wróżyć. Nazywa się Maćkowiak. Stary Maćkowiak, bo jeszcze jest młody, który z nim mieszka i gospodaruje. Ten młody wyjechał do Ameryki, zarobił dolary, wrócił i wybudował duży dom. O, widać go tam na wzgórzu, trochę oddalony od wioski. Kobięcina potruchtała w swoją stronę, a ja ze zdziwieniem patrzyłem na Jurka: — Co ci przyszło do głowy z tym pytaniem o wróżkę?

— Widzisz — odpowiedział. — Ja pochodzę z Białostocczyzny. U nas prawie w każdej wiosce jest jakaś szeptucha, jakaś starowina mieszkająca najczęściej gdzieś samotnie na skraju wsi. Wiesz, kto to jest szeptucha, zaklinaczka? Kobieta, która odczynia uroki, zdejmuje kołtun z głowy, leczy różę, przepowiada przyszłość. Ma swoje obrzędy i modlitwy. Ci, którzy do niej chodzą, raczej to ukrywają. Patrząc na te podgórskie wsie o takich nazwach pomyślałem, że i tu muszą istnieć wróżki czy szeptuchy. I miałem rację. To co, idziemy do wróżby? Chyba nie pożałujesz dziesięć czy dwadzieścia złotych, aby poznać swoją przyszłość.

Zgodziłem się. Jurek rzeczywiście wywodził się z małej wsi białostockiej. Ukończył technikum mechaniczne, potem wzięto go do wojska do Bartoszczy. Tu na jednodniowej przepustce niemożliwością było odwiedzać rodzinne strony, więc zwiedzał

okoliczne miasteczka. Zobaczył, że Warfama w Dobrym Mieście poszukiwała mechaników, więc jeszcze jako wojskowy zaszedł do fabryki i tak po wojsku znalazł tu pracę. Myślał o żeniactwie, ale ciągle szukał odpowiedniej kandydatki.

Zaszliśmy na podwórko Maćkowiaka. Na szczęście olbrzymi, szczekający pies był na łańcuchu. Jego ujadanie zaniepokoiło gospodarza, który wyszedł i nam się uważnie przyglądał. Na pewno nie spodziewał się żadnych gości.

— My do pana Maćkowiaka — powiedziałem.

— To ja jestem. A w jakiej sprawie? — odpowiedział w sile wieku mężczyzna.

— My chyba bardziej do pana ojca, bo pewna starsza kobieta powiedziała, że możemy z nim porozmawiać.

— A w jakiej sprawie? — zapytał gospodarz.

— To osobista sprawa, więc nie będziemy jej wyjawiać — powiedziałem tajemniczo, nie będąc przekonanym, czy spotkamy się ze starym Maćkowiakiem, czy też nie. Zresztą, wolałem jednak, aby do tego spotkania z wróżem nie doszło.

Mężczyzna jeszcze raz osądził nas wzrokiem i powiedział: — Poczekaście, zobaczę, czy ojciec będzie chciał z wami rozmawiać.

Czekaliśmy chyba z kwadrans. Wreszcie gospodarz wyszedł i zaprosił nas do pokoju, gdzie za stołem siedział starszy mężczyzna, którego zarost wskazywał, że gości się nie spodziewał. Przedstawiliśmy swoją sprawę, że starsza, zgarbiona kobieta podpierająca się kijem powiedziała nam, że pan jest wróżbita, a przyjechalśmy z daleka, i czy nie może nam przewidzieć przyszłości. Oczywiście zapłacimy tyle, ile będzie chciał.

Spojrzał na nas dziwnym wzrokiem i jęknął: — O, Boże, ile lat to będzie się za mną ciągnęło. I opowiedział historię, jak stał się sławnym wróżbitą.

— Ile to już lat było, może czterdzieści albo więcej. Przyszedł do mnie Heniek Powiadło i mówi, że można zarobić pół litra. Ja wtedy wrzucałem siano na sąsiek. Nawet trochę mi pomógł, więc musiałem czymś się zrewanżować. Oto Skobek, który dawniej był normalnym chłopem, gdy ożenił się po raz drugi, bo został wdowcem, zmienił się kompletnie, a bardziej nowa żonka go zmieniała. Dawniej wypił przed sklepem z chłopami piwo, zażartował, ba nawet czasem przyszedł na wiejską zabawę, a nowa kobieta go usidliła. Żadnych spotkań z kolegami, wyliczała mu pieniądze, kontrolowała każdy jego krok. Albo tak zazdrosna była, albo tak głupia. Pewnego dnia Skobek przyjechał rowerem do naszego wiejskiego sklepu na zakupy. Wychodzi ze sklepu, a tu nie ma jego roweru. Nakazał sklepowej, aby zadzwoniła po milicję, co uczyniła. Trochę to trwało, ale milicjant przyjechał na motorze z Limanowej

i wypytywał Skobka, kogo podejrzewa o kradzież. Nikogo wskazać nie mógł. We wsi kradzieże raczej się nie zdarzały. Czasami zginęła jakaś kura, ale to nie wiadomo, czy jastrząb ją porwał albo lis, albo jakaś Cyganka. Milicjant coś tam zapisał w notesie i chciał odjeżdżać, gdy Skobek zaczął się awanturować, aby ten obszedł każde gospodarstwo, bo na pewno rower gdzieś jest tu ukryty. Milicjant wytłumaczył mu, że złodziej na pewno nim jeździć po wsi nie będzie, bo wszyscy rower rozpoznają, może w nocy przetransportuje go do miasta, aby go sprzedać, ale on po zagrodach roweru szukać nie będzie. Skobek był wściekły, co ja teraz żonie powiem, płaciliwie wykrzykiwał. I wtedy podszedł do niego Mykalski. Powiedział, że rower może być odnaleziony, ale to będzie kosztować go pół litra.

— I co ja żonie powiem — dalej pytał błagalnie okradziony.

— Jak chcesz — filozoficznie powiedział Mykalski — ja chcę ci pomóc, ale wszystko kosztuje.

Mykalski powiedział, aby Skobek przyszedł do mnie, a ja jako jasnowidz, powiem mu, gdzie jest rower. Wcześniej Mykalski namówił Powiadło, aby ukradł rower i schował go na łące w stogu u Cimoszowej, to pewnie ta staruszka, która was do mnie przysłała. Potem mnie we wszystko Powiadło wprowadził i namówił do tego wróżenia. Więc przyszedł do mnie ten Skobek. Co miałem robić? Rozłożyłem jakieś stare karty, które walały się w domu, zamknąłem oczy i wolno mówiłem: to jest czarny rower, i chyba ma rozciągnięty łańcuch, który czasem spada, i skrzypi, bo nienaoliwiony. I dzwonek nie działa. Skobek patrzył na mnie coraz bardziej wybaluszonymi oczami, i potwierdzał, że wszystko się zgadza.

— Ale kto go ukradł? Gdzie jest teraz ten rower, jak bez niego pokażę się żonie? — błagalnie składał dłonie.

Wreszcie mu powiedziałem: — Rower jest ukryty w stogu na łące Cimoszowej. Chciał mnie po rękach całować, ale płacić nie chciał. Powiedział, że da na pół litra, gdy rower się odnajdzie. Nie odpuściłem, powiedziałem, że jestem uczciwy i gdyby roweru nie odnalazł to pieniądze mu zwrócę. No wypiliśmy te pół litra z Mykalskim i Powiadłem, ale co ja potem miałem! Panowie, do dziś to się ciągnie, skoro wy tu jesteście. Przychodziły kobiety, aby im wróżycę, młode dziewczyny pytały o przyszłego męża. Zastaniałem się brakiem czasu, robotą w gospodarstwie. Potem mówiłem, że wróżę tylko trzynastego, a tego dnia wyjeżdżałem z domu albo gdy jest pełnia księżyca. Potem zapowiedziałem, że wróżę tylko mężczyznom, bo tych nachalnych kobiet było tyle, że żona stawiała się coraz bardziej zazdrosna. I wszyscy we wsi mówili na mnie Wróż. I wszystko dlatego, że połakomiłem się na pół litra wódki. ■

VOYTHEQUE HIËRONYMOUS BORKOVSKĪ D'ERMLAND

Wiersze

WIDOK Z OKNA NA PLAC POCZTOWY Z KOŚCIOŁEM PARAFIALNYM
POD WEZWANIEM ŚW. DOMINGO DE GUZMÁNA OP W TLE

położę się spać o 22:00 a około 22:15 będę już spał
twardym snem aż poza świt
przez jakieś dziesięć godzin
rano wypiję duży kubek kawy Maxwell House z potrójnym cukrem
umyję zęby
zmienię gacie i podkoszulek

wreszcie pójde na plac Pocztowy
gdzie klapnę na metalowej ławce poobcieranej kulawym powietrzem
zagłębiając się z uwagą i troską w lekturze twarzy nieustalonych delikwentek
których nigdy nie brakuje

będę czekał na Zośkę Stryjeńską i Marinę Abramović
może ukążą się obie
może napatoczy się choć jedna
jednak nie jest to możliwe

tu mogę spotkać jedynie Erykę Irmę Koch albo Luizę Klarę Charkot
obie na swój sposób ułomne i klasyczne
ale mimo swoich nazwisk pełnych historii i bólu
są każdemu zbędne

Olsztyn – Zatorze (Allenstein, Schubertstraße), piątek, 5 września 2025, 05:21:20

HAIQ CCCIX

to miejsce walki
ściany grzybów pleśni plam
stara piwnica

HAIQ CCCLXXXV

kwiecie leszczyny
pęki rozpylonych mgieł
zbudzona radość

HAIQ CCLXX

opadłe jabłka
dojrzała przestrzeń smaku
zaraz zamkną sklep

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

ŚLADY W KRAJOBRAZIE WARMII – NATALIA TEJS

Moje prace są zapisem śladów obecnych w krajobrazie Warmii – zarówno tych materialnych, jak i ledwie czytelnych. Powstają na deskach pochodzących ze starej stodoły, które same noszą znaki czasu i użytkowania. Drewno nie jest tu jedynie podłożem; niesie własną historię i pamięć miejsca, z którego pochodzi, dlatego stało się naturalnym nośnikiem tej opowieści.

Łączę fotografię tradycyjną z malarstwem, pracując na styku obrazu dokumentalnego i jego przetworzenia. Przedstawiane krajobrazy i fragmenty architektury to często przestrzenie po dawnych siedliskach, drogach i zabudowaniach. Miejsca te zostały opuszczone, a natura stopniowo przejęła je na nowo. Pozostały po nich jedynie fragmenty, zatarte formy i ślady dawnej obecności.

Interesuje mnie stan zawieszenia między tym, co było, a tym, co trwa obecnie. Ślad nie funkcjonuje tu jako rekonstrukcja przeszłości, lecz jako jej pozostałość – niepełna, krucha i podatna na zanik. Nostalgiczny, nieco mroczny charakter prac wynika z obserwacji krajobrazu, w którym ludzka obecność ogranicza się już głównie do pamięci miejsca.



Natalia Tejs, z cyklu: *Niedeski*, technika autorska, 2024/2025

NATALIA TEJS
Niedeski





Z cyklu: *Niedeski*, technika autorska, 2024/2025

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Wodne opowieści

Kraina Tysiąca Jezior i mokradeł też ma swoje wodne opowieści...

SMOK I MISTRZ

To zaiste był dzień, który zapamiętały kamienie. Dzień, w którym smok stanął na przeciw człowieka nie jako „zwierzę” i nie jako wróg – ale jako strażnik i świadek. 10 kwietnia roku Pańskiego 1525. Albrecht Hohenzollern, wielki mistrz zakonu krzyżackiego, przybył do Krakowa, by złożyć hołd królowi Zygmunтови Staremu. W salach wawelskich mówiło się o polityce, o przyszłości, o konieczności rozejmu między starym a nowym... Lecz książę tej nocy, zanim zgiął kolano przed swoim wujem, spotkał kogoś innego. Spotkał Fjorglimra.

Spotkanie odbyło się nie w świetle pochodni, ale w cieniu dębu nad Wisłą. Smok nie był już taki jak dawniej, jego łuski pociemniały, a oczy – jeszcze mądrzejsze niż wieki temu – lśniły bursztynem i popiołem. Przeszedł przez wieki, widział upadek Truso, pożary na Żuławach, przybycie obcych chorągwi na Warmię, wiedział, że świat się zmienia. Choć ziemia i jej śmiertelni użytkownicy, ludzie, wciąż byli ci sami.

– Znasz mapy – powiedział smok do Albrechta. – Ale czy znasz to, co jest pod mapami? Szepty kości, ścieżki snów, pamięć piasku?

Albrecht nic nie odrzekł z początku. I nie zdziwił się smokowi. Znał kroniki, znał stare legendy Prusów i Warmów, znał szeptane relacje rycerzy krzyżackich, znał opowieści swojej matki Jagiellonki o smokach polskich. Wiedział też, że niektóre

historie milkną, bo czekają, aż je ktoś znów wysłucha.

– Złożę hołd królowi – rzekł w końcu. – Nie dlatego, że przegrałem, ale dlatego, że chcę trwać. Przetrwać. Odbudować. Prowadzić ludzi ku spokojowi.

Smok długo się w niego wpatrywał.

– Dobrze. Wierzę ci. Skoro jednak weźmiesz ziemie Północy jako lenno, musisz zrozumieć, że bierzesz również ich pamięć. A ja jej strzegę – od czasów, gdy wikingowie palili ogień nad Zalewem, aż po dziś. Jeśli skrzywdzisz tę ziemię, jeśli zapomnisz, że nie można jej posiadać, tylko można z nią być – powrócę.

I wtedy Albrecht, który choć był dumny, ale bardzo mądry, wyciągnął do niego rękę – bez broni, bez papieru, ale z gestem zgody. I smok po raz pierwszy w dziejach położył łeb w ludzkiej dłoni. I tak zawarto pakt.

Nic nie zostało w kronikach ani dokumentach kancelarii, ale drzewa między Królewcem a Lidzbarkiem szepczą o nim do dziś: że ziemia nie została tylko przekazana, ale powierzona – z opieką, z obowiązkiem, z oddechem smoka na wietrze. Nazajutrz w obecności dworu mistrz Albrecht złożył hołd królowi. Miał na piersi krzyż z bursztynu, mały i stary, który – jak potem powiadano – był odłamkiem serca smoka. Nikt nie wiedział, skąd go wziął. Może z Truso, może z Ornety, a może ze snu. Tylko on i smok znali prawdę.

Anna Rau



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

ŁYKO OLCHY

Spojrzał na tapy z obrzydzeniem. Znowu się w coś wpakował. Nie ma śniegu, dookoła szaro, buro i nijako. Wszędzie błoto. Chyba trzeba by się poruszać po drzewach, żeby nie wpakowywać się w ten wszechobecny szlam.

Ale przecież on lubił ten szlam, wychodził na brzeg jeziora, chwilę stał zdezorientowany, w końcu ruszał. Najbliżej rośla olcha, jej rdzawe wnętrze pachniało mu z daleka. Może jednak skosztuje dziś wierzy albo tej paroletniej brzoźki – też jest dobra. Zaczęły go świerzbic zęby. Od rana przecież nic nie jadł i niczego nie budował.

Ludzie, ach ci ludzie, tak próbują go stąd wypłoszyć. Ale gdzie on ma się udać, podziać. Tu jego matka i ojciec żyli i budowali. On gdzie miałby iść, na jaką tułaczkę nadwodną. Szurnął szerokim ogonem i podreptał w kierunku młodej olchy, której tylko najbardziej mu smakowało. Zacznie od wieczornego śniadania.

Iwona Bolińska-Walendzik

ANITA ROMULEWICZ

Recepta na rozwój

Gdyby ktoś powiedział, że lekarze, nauczyciele, bibliotekarze i więźniowie zagrają w jednej drużynie, niejednen zapytałby: Ale jako to? Czy to możliwe, aby osoby na co dzień zajęte zupełnie odmiennymi zadaniami, miały do osiągnięcia jeden wspólny cel? Wojewódzki Program Rozwoju Czytelnictwa na Warmii i Mazurach udowodnił, że tak i jest nim radość z czytania. To przedsięwzięcie, realizowane przez cały 2025 rok, przede wszystkim stanowi dziś dowód na to, że odwaga i współpraca ludzi w podejmowaniu wyzwań na rzecz dobra wspólnego ma sens. Jeśli do tego mogą oni liczyć na wsparcie samorządu, który dostrzega potrzeby społeczne i dąży do budowania społeczeństwa świadomego, bo czytającego, są oni w stanie podejmować trudne zadania z wiarą w zmianę i z pozytywnym rozmachem.

Koordynatorem tego pro czytelniczego programu była już drugi rok z rzędu Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie. W 2024 roku działania obejmowały promocję idei czytelnictwa, jako sprawy społecznej, do której zaangażowali się ludzie świata kultury, polityki i biznesu. Tegoroczna edycja umożliwiła natomiast bibliotekarzom z terenu województwa warmińsko-mazurskiego po raz pierwszy w Polsce podjąć systemowy plan regionalny rozwijający czytelniczo przy ścisłej współpracy trzech sektorów: kultury, edukacji i zdrowia. Organizatorzy bez gotowych wzorców, zaproponowali wiele rozwiązań pilotażowych, które realizowano w trybie eksperymentu, co wymagało od wszystkich partnerów dużej elastyczności i gotowości do nauki.

Punktem wyjścia WPRCZ była i pozostanie na kolejne lata szeroko pojmowana inwestycja w przyszłość. Dzisiaj zdajemy sobie sprawę, że czytanie buduje wiele cennych kompetencji, które chcielibyśmy widzieć od razu, jednak owe efekty to kwestia dekad lub nawet zmiany pokoleniowej. Z jednej strony jako klucz do osobistego rozwoju stały kontakt z książką umożliwia kształcenie krytycznego myślenia i empatii u dorosłych, pozwala dostrzegać szersze horyzonty, lepiej rozumieć świat i siebie nawzajem, co generalnie tworzy bardziej świadomych i przez to bezpiecznych ludzi. Ale czytanie ma też inną wspaniałą stronę – od najmłodszych lat, a nawet miesięcy życia, niesie korzyści, które warunkują zdrowy i pełny rozwój intelektualny oraz psychiczny ma-luszków. I wbrew temu co głoszą stereotypy – umiejętność czytania nie tyle tworzy przyszłych humanistów, co po prostu zdolnych i mądrych dorosłych ludzi.

Dlatego tak ważne jest, aby rozpoczynać przygodę z czytaniem jak najwcześniej, co podkreślano chociażby podczas seminarium „Czytająca szkoła”, w którym udział wzięło aż 70 nauczycieli, pragnących zaszczepić miłość do literatury w kolejnych pokoleniach. Wydarzeniem tym rozpoczęto program kilkudziesięciu działań pro-czytelniczych skierowanych do najmłodszych. Ta konkretna akcja, promowana przez oficjalnego partnera programu – Fundację Powszechnego Czytania, ma na celu dążyć do przesunięcia myślenia o książkach z paradygmatu szkolnego obowiązku („muszę”) w stronę nawyku opartego na przyjemności i rozmowie („lubię”). I jako pierwsza realizowała hasło przewodnie WPRCZ, czyli „Radość z czytania”.

Do wspólnej realizacji programu przyjęły zaproszenie biblioteki publiczne z terenu województwa warmińsko-mazurskiego. Przekonane, że wspólnym staraniem łatwiej i skuteczniej można realizować nawet trudne zadania, zaproszenie przyjęły placówki z Braniewa, Lidzbarka Warmińskiego, Kętrzyna, Gołdapi, Kowali Oleckich oraz Lipowiny, a także partner lokalny – biblioteka Abecadło w Olsztynie. Ich zaangażowanie dało szansę na poznanie specyfiki różnych regionów Warmii i Mazur i potrzeb kulturalnych ich mieszkańców, co wzmocniły warsztaty z diagnozy lokalnej prowadzone przez socjologów. Aby umożliwić bibliotekarzom i ich partnerom wychodzenie ze stref komfortu i podejmowanie nowych wyzwań, zorganizowano szereg wspierających i inspirujących szkoleń oraz webinarów. Łącznie wzięło w nich udział ponad 300 osób. Uczestnicy mieli okazję trenować m.in. skuteczny przekaz na rzecz idei czytania pod okiem Macieja Makselona, czy choćby dzięki prof. Markowi Kaczmarzkowi zrozumieć neurobiologiczne mechanizmy wpływu książki na człowieka w każdym wieku.

Celem tych i kilku innych specjalistycznych spotkań działań była przede wszystkim zmiana świadomości samych bibliotekarzy w kwestii podejmowania nowych wyzwań oraz dostosowywaniu bibliotek do współczesnych potrzeb mieszkańców. Jednym z ważniejszych tematów była redefinicja czytania, jego wpływu na życie człowieka. Sami bibliotekarze wzięli udział w 9 szkoleniach i konferencjach – w tym w prestiżowym spotkaniu dla pediatrów zorganizowanym w Bibliotece Narodowej. Dzięki wykładom światowych autorytetów otrzymali oni najnowszą wiedzę, popartą naukowymi badaniami i doświadczeniami, w kwestii znaczenia procesu czytania,

szczególnie wśród młodych ludzi, które rozwija zdolności analityczne i społeczne niezbędne w każdej dziedzinie, od inżynierii po sport.

Efektom tej zmiany było zaskakująco owocne nawiązanie współpracy bibliotek ze środowiskiem medycznym na terenie województwa. Zrealizowana we współpracy z FPCz akcja „Książka na receptę” umożliwiła dostarczenie do ponad 20 placówek ponad 6000 książek dla najmłodszych oraz folderów dla rodziców „Siła czytania”. Pakiety te trafiły m.in. do szpitali w Olsztynie, Barczewie oraz w kilku powiatach, docierając bezpośrednio do rodziców małych pacjentów. Dzięki temu niemal 30 lekarzy, głównie pediatrów i internistów, ale też innych specjalności włączyło się do szerzenia wiedzy o korzyściach z czytania dziecku. Co więcej, odbyły się działania edukacyjne, w tym spotkanie online dla bibliotekarzy z neonatologami i dyrektorami szpitali, by jeszcze skuteczniej włączyć „receptę na czytanie” do codziennej rutyny zdrowotnej. Wartością tej akcji jest zwiększenie świadomości wśród bibliotekarzy, jak potrzebne są tego typu akcje oraz jak otwarci, zaangażowani są pracownicy szpitali, przychodni, zarówno państwowych jak i prywatnych. Zaskakujące dla wielu było, że środowisko medyczne, bezsprzeczny autorytet w popularyzacji zdrowia społecznego, nie jest tak hermetyczne i gdy przystąpi do współpracy, jest cennym partnerem.

W ramach programu duża część działań została skierowana również do słabo lub nieczytających grup społecznych, w tym mężczyzn. To właśnie oni, jako osoby stanowiące wzór do naśladowania dla przyszłych młodych czytelników, są ważnym czynnikiem powodzenia w tworzeniu zdrowych i korzystnych nawyków czytania. Dlatego też wszystkie biblioteki partnerskie włączyły się do realizacji ogólnopolskiej akcji „Tatęczyta”. Dzięki indywidualnym i wspólnym działaniom, jak spotkania z ojcami, konkursy z nagrodami, warsztaty, prezentacje książek o sile czytania rodzinnego i innym, udało się zaangażować wielu ojców, ale i dziadków, wujków, starszych braci. Z okazji Dnia Dziecka ogłoszono konkurs fotograficzny „Siła Czytania”, którego celem była aktywizacja mężczyzn jako wzorców dla młodego pokolenia, a jego rozstrzygnięcie stało się ważnym punktem jesiennych wydarzeń, w tym festiwalowych. Ciekawą formą promocji były również warsztaty teatralne dla ojców i dzieci prowadzone przez reżysera Jakuba Konrada Korzunowicza, a także współpraca z Radiem Olsztyn, gdzie do czytania zachęcał m.in. sportowiec Tomasz Domżański.

W kolejnych miesiącach odbywały się rodzinne spotkania, w tym głośne czytania z udziałem ojców, spotkania z ukochanymi pisarzami czy nocne spacer z latarką i... książką. Akcje te pokazały bibliotekarzom, jak chętnie całe rodziny angażują się w rozwój dzieci, a ojcom, jak są potrzebni i doceniani na tym polu. Społeczne wsparcie okazuje się bowiem niezwykle istotne w łamaniu stereotypów. Tylko podczas Tygodnia Bibliotek do zabawy terenowej z książką „Zagraj z Tatą” przystąpiło w Olsztynie 120 rodziców, w tym wielu pierwszy raz odwiedziło bibliotekę. Podobnie przebiegały akcje w bibliotekach partnerskich. Każdorazowo skutkiem było



zapisywanie się od kilkunastu do kilkudziesięciu nowych osób (dorosłych i dzieci) do bibliotek.

Szczególną uwagę przykuł nowatorski moduł penitencjarny, który zrealizowano we współpracy z Zakładem Karnym w Barczewie i Aresztem Śledczym w Elblągu. To tam osadzeni ojcowie nie tylko czytali dzieciom, ale też wręczali im własnoręcznie wykonane maskotki. Z perspektywy resocjalizacji była to kluczowa interwencja, ucząca osadzonych ojców opartego na obecności i czułości, a także minimalizująca negatywne skutki izolacji dla najmłodszych.

Program nie pominął również innych grup o szczególnych potrzebach — podczas konkursu „O Warmio moja miła!” dla dzieci niesłyszących, pracownicy biblioteki promowali czytelnictwo, integrując blisko 80 uczestników. Z udziałem samych niesłyszących odbył się także festiwalowy warsztat i pokaz czytania performatywnego pod okiem specjalistki Natalii Świniarskiej. Z kolei w ramach wspólnego czytania wielu seniorów książki z dużym drukiem, miało okazję po raz pierwszy skorzystać z książki z dużym drukiem.

Kolejnym obszarem zmian w bibliotekach biorących udział w programie było zwrócenie uwagi społeczeństwa na nowoczesny charakter bibliotek, ich ciekawą i bogatą ofertę kulturalną i fakt, że stanowią one „trzecie miejsce” dla każdego. Dotarcie do osób jeszcze nieczytających to, jak pokazały szkolenia z zakresu diagnozy lokalnej, oraz badania nieużytkowników, bezdyskusyjna potrzeba zmiany stereotypowego i szkodliwego obrazu biblioteki. Ewaluacja pokazała, że jednym z wyzwań dla biblioteki realizujących program jest potrzeba wyjście poza mury instytucji. Dzięki programowi możliwe stało się pokazanie społeczeństwu, jak atrakcyjnym, pozytywnym i nowoczesnym miejscem są dzisiejsze placówki z terenu województwa, niezależnie od miejscowości, w jakiej działają.

To dzięki WPRCZ możliwe było zaplanowanie i przygotowanie przez wszystkich partnerów na szeroką skalę Festiwalu Radość Czytania, który odbył się w wielu

miejsowościach regionu w dniach 25-27 września. Rozmach wydarzenia był imponujący: w samym tylko Olsztynie zorganizowano 13 warsztatów literacko-artystycznych i 6 spotkań z pisarzami, natomiast na terenie województwa odbyło się aż 26 akcji głośnego czytania, także z udziałem mężczyzn (w tym osadzonych), 8 spotkań autorskich, 6 wykładów, 6 promocji książek (ekspozycje, wymiany), 6 stref relaksu z książką, dwudniowe targi książki (głównie dla dzieci), koncert poezji śpiewanej oraz inne wydarzenia towarzyszące, jak np. zawody sportowe i pokazy strażackie. By umożliwić zaplanowanie działań zewnętrznych, placówki partnerskie zakupiły setki książek dla dużych i małych czytelników, tysiące zaktadek i przypinek promujących logo wydarzenia, a ponadto profesjonalne wyposażenie plenerowe. Namoty, flagi, stoły, siedziska, a nawet wielkoformatowa gra planszowa z ogromną kostką, pozwoliła bibliotekom zorganizować ofertę w przestrzeni miejskiej i dosłownie „wyjść do ludzi”. Tak pomyślane przygotowania zbudowały jednocześnie zaplecze na kolejne lata. Festiwal znacząco wsparł marketing kultury i czytania oraz zainicjował kolejne tego typu formy pracy w innych bibliotekach województwa. Zwieńczeniem tych starań było Forum Ambasadorów Czytania, pod okiem profesjonalnego ewaluatora Mikołaja Łątkowskiego, podsumowujące osiągnięcia tegorocznej edycji WPRCz i wyznaczające kierunki na przyszłość.

Niewątpliwy sukces tego programu to przede wszystkim stopniowa, z naciskiem na to słowo, zmiana społeczna w postrzeganiu bibliotek jako miejsc nowoczesnych i społecznie zaangażowanych. To także zdecydowanie większa świadomość samych bibliotekarzy w kwestii otwierania się na nowe partnerstwa dla dobra przyszłych i obecnych czytelników. Nasz długofalowy cel, którym jest przekonanie innych i siebie, że czytanie ma kluczowe znaczenie dla zdrowia, bezpieczeństwa i poczucia szczęścia ludzi, przybliżył się. Raport końcowy jasno wskazał, że przerwanie programu na tym etapie oznaczałoby zmarnowanie pozytywnego impetu do działania, rozpoznawalnej marki akcji, wypracowanego kapitału relacji oraz zaprzepaszczenie szansy na ugruntowanie pozycji regionu jako innowatora społecznego. W kolejnym roku zaplanowano poszerzenie istniejącego partnerstwa, kontynuowanie i zintensyfikowanie działań, które doskonale sprawdziły się w tegorocznej edycji, a także wyjście poza kolejne strefy komfortu. ■

Rozmyślałam sobie często nad różnymi zagadnieniami, w ramach rozrywki dla zwojów mózgowych. Jednym z motywów, które czasem mi towarzyszą jest, nazwijmy to roboczo, obserwacja analogii. Zarówno w skali mikro, co makro. Zaczniemy od prądu przepływającego w naszym ciele, komórek, atomów i tego, że cały nasz organizm jest niesamowitym technicznie, biologicznie i filozoficznie urządzeniem. Zapisujemy w nim i transferujemy dane, z generacji na generację przekazujemy informacje, w tym emocjonalne, w kodzie genetycznym. Nie wszystko jest dla nas jasne i zrozumiałe. Mimo głośniejszych dyskusji o spadkach demograficznych wciąż się rozmnażamy i tworzymy kolejne warianty ludzi, zarazem jesteśmy powtarzalni i jakby niezmienni z natury.

Na drugim końcu moich rozmyślań znajduje się to, co z grubsza wiemy o Kosmosie. Jesteśmy jego częścią i to bez wątpienia maciupenką. W skali mikroskopu w laboratorium, prawdopodobnie człowiek w kosmosie jest tak mały jak kwark w ciele albo nieskończenie mniejszy. Przede wszystkim jednak, w ramach zabaw, lubię wyobrażać sobie, że to co dzieje się w nas – w organizmie człowieka, w skali mikro – wygląda bardzo podobnie jak ten bez końca rosnący wokół naszej planety olbrzymi Wszechświat. Taka zabawa. W głowie. W sferze dla nas mało zbadanej – czyli w wyobraźni. Tej samej wyobraźni, która wypływa z siebie uczucia, potrzeby, tęsknoty i twórczość. Jeśli cała nasza człowiecza maszyna jest mikrokosmosem sterowanym przepływami prądu i fal, to wyobraźnia jest jakimś szumem, efektem, skutkiem ubocznym. A może bardziej sterownikiem i kontrolerem software'owym? W każdym razie udowodniono nieraz, a w muzyce jest to raczej powszechna wiedza, że proces rozwoju i nauki odbywa się w większości w głowie. Wirtuozi instrumentów ćwiczą trudne miejsca techniczne w wyobraźni – ten proces jest bardzo istotnym etapem utrwalania interpretacji, emocji, porządkowania i sprawdzania pamięci. Nie rozumiemy, dlaczego niektórzy ludzie, żyjąc w krainach wyobraźni tworzą, a inni nie. Nie jest jasne, które z naszych składowych za to w pełni odpowiadają, podobnie jak nie wiemy, czemu ludzie mają bardzo różne poziomy tzw. wrażliwości. Ale wiemy, że częścią istnienia ludzkości, tej małej drobinki w gargantuicznie wielkim Kosmosie, jest właśnie

MARY RUMI

Wielo-ślad, jedno-ślad

ogrom twórczości wypływanej przez człowiecze mózgi równolegle do prowadzonej bez końca, brutalnej regulacji populacji.

Zakodowany jest w nas niejeden paradoks. Pragniemy żyć. Boimy się śmierci. Wiemy, że umrzemy. Zadajemy ból i śmierć. Lekceważymy wszystko. Przejmujemy się wszystkim. Nie przejmujemy się niczym. Uciekamy. Mamy relacje z innymi ludźmi. Są one bardzo złożone. Życie pochłania nas bez reszty. Jednocześnie najczęściej boimy się, że nie żyjemy w pełni, tracimy czas, albo nie doceniamy go. Kochamy i niszczyliśmy po równo. I obserwujemy efekty, analizujemy, odbieramy zapisy, dzieła, słowa, obrazy, dźwięki. Staramy się ogarnąć, że w tej samej chwili jesteśmy wszystkim i niczym. Że istnieje tyle Wszechświatów, ile ludzi, którzy o nich myślą. Każdy tworzy w głowie własny Kosmos, żyje w nim i umiera, i potem zamienia się w coś innego w zamknięto-otwartym obiegu planety. Przetwarza się ten ładunek bez końca, a zarazem wiemy, że ilość rozdań jest z góry określona i ta nieogarnialna nieskończalność kiedyś przeminie, że jest to nieuchronne. Co nam pozostaje? Co może zrobić jeden składnik dania? Co nam pozostaje, skoro tyle wiemy/nie wiemy. Czujemy i przeczuwamy. Podejrzewamy własną istotność. Odczuwamy też naszą nieistotność. Balans tych dwóch skrajności jest w ciągłym ruchu i w konsekwencji tego powstają rzeczy. Nazywamy je kulturą.

Wypływane skutki uboczne świadomych i przede wszystkim nieświadomych procesów. Emocji. Zderzenia ogromnej wagi bez znaczenia. Można powiedzieć, że nie pozostaje nam zbyt wiele strategii do obrania. Skupiamy się na tym, co jest w zasięgu wzroku, tworzymy do tego komentarze. Zostawiamy okruszki kontekstów i znaczeń. Ślady w śniegu przed odwilżą. W każdej z odmian twórczości, w inny sposób kruszymy jakiś sens, a każdy z odcisków w śniegu w inny sposób topnieje. Dużo o nośnikach rozpisałam się w poprzednim felietonie „Od nośnika do nieznośnika”. Słowa możemy wypowiedzieć, o ile mamy jak i do kogo. Możemy je spisać, zaśpiewać, nagrać. Ma to sens, o ile zakładamy, że kiedyś zostaną wysłuchane, przeczytane, odebrane. Podobnie obrazy, rzeźby, zdjęcia, filmy. Osobiste doświadczenia i odczucia są jednocześnie prywatne i zbiorowe.

Nasz osobisty kontekst jest efektem czy, jak się to mówi, „owocem” poprzednich generacji. Tych samych, które ukształtowały ostatnie dekady naszego funkcjonowania na Ziemi. Owoce owoców owoców owoców... itd. Bez końca. Ale bardzo trudno jest się zawiesić czy zaczepić na czymś, co nie ma końca. A początek był tak dawno, że też jakby nie istniał. Więc staramy się sami dać sobie swoje początki, końce i możliwości podparcia. Zazwyczaj znajdujemy je w tradycjach i innych ludziach. Najchętniej w ludziach z elementami wspólnymi, jak właśnie: część łańcucha genetycznego, kraina geograficzna, podobne doświadczenia, obrządki, wspomnienia. Ślady. Ludzie kultury i twórczości są właśnie od tego. Od zostawiania śladów. Od reinterpretacji śladów po owocach owoców owoców. Może nawet ze szczątkami zapisanych śladów o naszych początkach i nieskończonych końcach. Zupełnie niesamowitym jest, co potrafimy poczuć. Ten ogromny ładunek, który generuje w nas dźwięk, słowo, zapach czy obraz jest jakimś kluczowym składnikiem całości naszego istnienia. Potrzebujemy od tysięcy lat, aby trwał w nas rytm – zewnętrzny ślad pulsu i bicia serca, które mamy w środku. Potrzebujemy widzieć i czuć odbicie naszych skrytych lęków w innych, doświadczać też różnych scenariuszy od naszego. Potrzebujemy mieć pewność, że coś, co istnieje dłużej niż my, nadaje nam sens. Że jesteśmy przydatni. I takich śladów szukamy. Też w mojej branży – muzyce. Zarówno regionalnej, tradycyjnej i tzw. in crudo (zawsze w myślach nazywam ją „dawną muzyką rozrywkową”), drugiej – stworzonej formalnie i fikuśnie, czyli klasyce (muzyka rozrywkowa stworzona przez zaburzeniowców z obsesją kontroli) i wreszcie najszerszej rozrywce – czyli bieżącej tradycji globalnej wioski – wypadkowej dwóch poprzednich. Wszystko to są ślady. W każdej z dziedzin twórczych znajdują się elementy pozostałych. W każdym naszym wspomnieniu są składniki i ślady wszystkiego, co było wcześniej i w jakimś stopniu wszystkiego, co będzie po nas. Ślady w muzyce są ledwie kwarkami w skali kosmicznej. Zmierzam do wielkiego finału, którym jest niewielkie stwierdzenie, że w moim Kosmosie te ślady właśnie są jedynym, co ma jakikolwiek sens. Bo są okruszkiem sensu w czymś, czego nigdy nie zrozumieć. I nie muszę. ■

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA

Cykl: Co warto czytać? Czyli słów kilka o książkach z Warmii i Mazur

Opowieść o przemijającym świecie starowierców

W ścisłej czołówce pięciu nominowanych do Literackiej Nagrody Warmii i Mazur „Wawrzynu” za rok 2024 książek znalazł się niezwykle reportaż Katarzyny Roman-Rawskiej, przybierający formę eseju, poświęcony staroobrzędowcom. Ich świat ukryty jest przed oczami współczesnych. Historia starowierców sięga XVII wieku, kiedy nie uznali reformy liturgicznej patriarchy Nikona z lat 1652–1656, upodabniającej obrzędy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego do greckich i na skutek prześladowań wyemigrowali z Rosji. Przybyli wówczas na rubieże Rzeczypospolitej Obojga Narodów, na kresy Wielkiego Księstwa Litewskiego, a następnie w XVIII wieku migrowali na zachód, docierając na dzisiejszą Suwalszczyznę, a później także do Prus Wschodnich, czyli na dzisiejszą Warmię i Mazury. Ten świat odległego obyczaju i zanikającej tradycji chciała ocalić Katarzyna Roman-Rawska w książce *Zaśnieńcie Anisy. Opowieść o polskich starowiercach*. Autorka zadeklarowała na wstępie:

„Książkę o polskich staroobrzędowcach pisałam z pobudek tak samo banalnych, jak doniosłych, chciałam, żeby pamięć o tej mniejszości przetrwała. Chciałam także spełnić prośbę babci, żeby i o niej świat pamiętał” (s. 21).

Opowiada więc o jednym z odłamów starowierców – bezpopowcach, do których należała rodzina babci Anisy, nieuznających sakramentu kapłaństwa, przekonanych o zapanowaniu sił zła nad światem. W ich wspólnocie wszyscy byli równi, a przez to każdy był równie ważny.

Gabowe Grądy, w których całe życie spędziła tytułowa babcia Anisa wraz z mężem Siemionem, to miejsce, które stało się dla autorki źródłem zapamiętanych na całe życie doświadczeń i przeżyć. Tutaj spotkała się ze spokojem pewnej wiary i z życiem przebiegającym w zgodzie z uświęconą przed wiekami tradycją. Tylko tu nazywano ją Kacią i nauczono kochać przyrodę (w starej wierze zwierzęta mają duszę) i ludzi. Dlatego też w jej opowieści miesza się perspektywa

wykształconej socjolożki, mieszkanki Warszawy, z młodą dziewczyną, która chce jak najwięcej dowiedzieć się o minionym świecie babci. Anisa odeszła, zabierając ze sobą wiele tajemnic.

Autorka rozważa w szerokiej perspektywie problem znikania staroobrzędowego świata. Uzyskali oni co prawda pełnię praw obywatelskich w 1905, po wydaniu przez cara Mikołaja II edyktu tolerancyjnego, ale zwykle spotykali się z wrogością zewnętrznego środowiska. Tak było jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, a także później w odradzającym się państwie. W czasie I wojny światowej uciekli do Rosji, szukając schronienia wśród swoich. Powróciwszy po wielkiej wojnie do Gabowych Grądów i Borów na Suwalszczyźnie nie czuli się jak u siebie, będąc innowiercami, nazywanymi potocznie burłakami, którym wbrew prawdzie przypisywano najgorszą działalność: grabieże i napaści. Czas II wojny światowej to dla większości okres tragicznych doświadczeń: zagłady lub przymusowych robót w folwarkach u bogatych gospodarzy w Prusach Wschodnich. Katarzyna Roman-Rawska składa historię swojego rodu z fragmentów usłyszanych kiedyś i dopowiedzianych przez różne osoby opowieści. Narzeka, że wspomnień jest mało:

„W moim domu wszyscy skupiali się na teraźniejszości, rzadziej na bliskiej przeszłości. Jeśli już, to najczęściej mówili o pozytywnych doświadczeniach, a ja nie miałam nigdy potrzeby rozdrapywać ran i akceptowałam ten samoistny model pamięci afirmatywnej” (s. 42).

Udaje jej się jednak ustalić, że rodziny staroobrzędowców po zakończeniu wojny wróciły do Gabowych Grądów, odbudowały molenne, czyli dom modlitwy bezpopowców, i stworzyły jako tako swoją egzystencję od nowa, izolując się od reszty, żyjąc częściowo w diasporze. Anisa poszła co prawda do polskiej szkoły, ale nigdy nie nauczyła się mówić dobrze po polsku. Gdy spotkała swojego towarzysza życia, Siemiona, zaczął się dla niej typowy dla kobiety czas całodobowej pracy:

w gospodarstwie i domu, bez ustanku. Jednak miała dużo szczęścia, gdyż we wszystkim wspierał ją serdeczny i uczynny mąż. Dzięki temu zdołali utrzymać się ze sprzedaży wiśni z sadu, mleka i zbiorów runa leśnego. Siemion często pracował fizycznie na budowach. Wychowali jednego syna i pięć córek, z których każda miała jakiś dar, matka autorki była np. mistrzynią haftu z motywem kwiatowym. Coraz bardziej jednak, jak pisze Roman-Rawska, archaiczny świat starowerski przenikał się z tym zewnętrznym. Dzieci konwertowały, asymilując się w polskich rodzinach i odchodząc od wiary przejawiającej się w życiu ubogim, ze śpiewem starocerkiewnych pieśni i z modlitwą.

„Pamięć starowerska we mnie i w moich bliskich była od zawsze wytarta i dziurawa” — pisze autorka i obwinia o to swoją mamę, która nie odczuwała żadnej dumy z pochodzenia, poddając się wpajanej w szkole reedukacji, nie chciała być nazywana „kacapką”, co się jej zdarzało. Nie wynosiła więc starowerskości poza enklawę. Jednak jedna z córek Anisy wyszła za mąż w obrządku starowerskim, podczas którego nastawnik — ten, który przewodzi życiu religijnemu wspólnoty, zezwolił im na małżeństwo. To przeżycie Katarzyna Roman-Rawska zachowała na długo w pamięci.

Po pogrzebie Anisy, tak pięknym i wzruszającym, że pozostał w wyobraźni autorki jak malowana ikona, wydawało się, że świat starowerski dla niej już się skończył. Okazało się jednak, że w Gabowych Grądach są spadkobierczynie tej tradycji. Odbył się bowiem niedawno, bo w 2023 r., w obrządku starowerskim, chrzest córeczki jednej z bliskich kuzynek. Znowu przed jej oczami odmalowała się jedna z ikon.

Katarzyna Roman-Rawska zdaje sobie sprawę, że świat babci Anisy i dziadka Siemiona powoli przestaje istnieć. Jak pisze autorka, według ostatnich urzędowych zapisów w Polsce staroobrzędowców mieszka trochę ponad tysiąc czterystu. Jednak przede wszystkim ginie ich obrzędowość. Nikt nie zapisał tajemnic

prababki Warwary, tutejszej szeptuchy ani tajników czytania Księgi Pisma, znanych tylko pradziadkowi Iwanowi. Nie utrwalono wspomnień ani pamiątek po dziadkach. Roman-Rawska pisze:

„Trudno się nie rozgniewać, kiedy pamięć ulatuje z dymem do nieba, kiedy nie ma z czego brać, z czego żyć, kiedy zaczerpnięta w dłoń przelatuje przez palce i rozsypuje się drobinami dalej i dalej” (s. 255).

Autorka przyznaje, że w końcu przestała się gniewać i przyjęła wszystko jak jest. Uporządkowanie dostępnej wiedzy było aktem służącym współczesnym starowiercom. Jednakże autorka zrobiła to także dla siebie, gdyż opowiadając historię po kądzieli, historię matczyzny, wypowiedziała się w imieniu mniejszości dyskryminowanej przez historię po mieczu. I jest to jej indywidualne zwycięstwo, które przyjęło postać pisania quasi-ikonicznego. Stało się dla niej sposobem na przeżywanie żałoby po babci, po utraconym i odchodzącym świecie, ale też „manifestem i wołaniem o zrozumienie słabej perspektywy”.

Cenię tę książkę najbardziej z tego powodu: za umiejętność konfesyjnej wypowiedzi w historycznym kontekście. Autorka przyjęła jednocześnie rolę badaczki, reportażystki, eseistki i wnuczki opłakującej ukochaną zmarłą babcię, tworząc wiarygodną i barwną opowieść o ginącej mniejszości. Trzeba tę książkę koniecznie przeczytać. ■

Katarzyna Roman-Rawska, *Zaśnięcie Anisy. Opowieść o polskich starowierach*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, ss. 280.

IWONA BAGNIEWSKA

Sztynort – kamień, który pamięta

Gdy 15 listopada 2025 roku uroczyste odsłonięto odrestaurowaną elewację frontową pałacu w Sztynorcie, nie był to jedynie koniec kolejnego etapu budowlanego. Był to moment symboliczny – chwila, w której wieloletnie milczenie tego miejsca zostało przerwane.

Pałac w Sztynorcie (Steinort), perła Prus Wschodnich, przez dekady trwał w stanie, który konserwatorzy określają mianem „trwałej ruiny”, a poeci – letargiem. Siedziba rodu Lehndorffów nigdy nie była tylko budynkiem. To wielowarstwowy zapis historii – palimpsest, w którym pod każdą zdrapaną warstwą farby kryje się inna epoka, inny dramat i inna nadzieja. Tematem tej opowieści są ślady. Nie te oczywiste, jak daty w kronikach, ale te ukryte w strukturze murów, w pamięci ludzi i w ziemi, która wciąż oddaje to, co kiedyś pochłonęła.

BAROK POD TYNKIEM, RENESANS W OFICYNIE

Rok 2025 zapisze się w historii Sztynortu jako czas wielkich powrotów, choć fundament pod te wydarzenia położono znacznie wcześniej.

Gdy jesienią odsłonięto odnowioną elewację frontową, uwagę zgromadzonych przykuły dwa kluczowe detale, bez których pałac wydawał się niekompletny. Zrekonstruowany balkon przywrócił budynkowi jego dawny charakter i proporcje, a poddane konserwacji, oryginalne drzwi wejściowe wróciły z depozytu na swoje miejsce, by znów witać gości.

Jednak to, co widoczne na zewnątrz, dopełnia skarb ukryty w środku. Prawdziwa sensacja archeologiczna wybuchła tu już we wrześniu 2019 roku, kiedy spod warstw olejnej lamperii i tynku z czasów PGR-u wyłoniły się pierwsze fragmenty XVII-wiecznych polichromii. Lipiec 2025 roku przyniósł zwieńczenie żmudnych prac nad tymi znaleziskami. To, co jeszcze niedawno było ledwie majaczącym zarysem, teraz odzyskało pełnię wyrazu. Błękity i ochry na deskach stropowych – pełne motywów roślinnych, zwierzęcych i alegorycznych – nabrały dawnej głębi. To dowód, że mimo burzliwych dziejów nie udało się ogołocić pałacu z jego barokowej duszy, a pod warstwą powojennej szarości wciąż tętniły ślady dawnego życia, ocalone dzięki precyzji konserwatorów. Podobną historię opowiada „serce” dawnego domu. W 2019 roku w stercie gruzu jednego z budynków gospodarczych zidentyfikowano zdemontowany, XVI-wieczny piec

kaflowy. To unikatowe dzieło sztuki zduńskiej jest kolejnym dowodem na to, że pałac Lehndorffów skrywa jeszcze wiele tajemnic.

PAMIĘĆ DRZEW

Aby zrozumieć teraźniejszość, trzeba cofnąć się do początków. Nazwa Steinort – Kamienne Miejsce – sugeruje solidność, ale historia tego zakątka naznaczona jest walką z żywiołem. Pierwsza siedziba rodu Lehndorffów, wzniesiona na południowym cyplu półwyspu, przegrała to starcie i w XVI wieku osunęła się w tón jeziora. To pierwszy, zatarty ślad – archeologiczne memento przypominające, że na Mazurach natura zawsze ma ostatnie słowo.

Dopiero druga siedziba, wzniesiona na bezpieczniejszym wzniesieniu między 1554 a 1572 rokiem, dała początek dzisiejszemu założeniu. Jednak to Maria Eleonora von Dönhoff pod koniec XVII wieku nadała pałacowi formę, która zachwyca do dziś. Kobieta o niezwykłym zmyśle estetycznym i organizacyjnym zadbała nie tylko o mury, ale i ramy krajobrazowe – w tym stynną aleję dębową. Te drzewa, liczące dziś kilkaset lat, są najtrwalszymi świadkami historii. Ich kora nosi ślady wojen, pożarów i zmian klimatu, a korzenie spajają ziemię, która wielokrotnie zmieniała przynależność państwową.

DOM DWÓCH ŚWIATÓW

Najbardziej mroczny, a zarazem fascynujący rozdział w historii pałacu zapisał się w latach II wojny światowej. Sztynort stał się wówczas scenografią dla surrealistycznego dramatu, w którym pod jednym dachem mieszkali kat i ofiara, nazista i spiskowiec.

W 1941 roku zachodnie skrzydło pałacu zajął Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych III Rzeszy. Wybór nie był przypadkowy – bliskość Wilczego Szańca czyniła ze Sztynortu idealne zaplecze dyplomatyczne. W drugim skrzydle, zepchnięta na margines we własnym domu, mieszkała rodzina Heinricha von Lehndorffa.

Ten dualizm przestrzeni jest najsilniejszym emocjonalnym śladem tamtego czasu. Z jednej strony słychać było stukot obcasów Ribbentropa i dźwięk telefonów łączących go z Berlinem czy Moskwą.

Z drugiej strony, w cieniu tej groźnej obecności, Heinrich von Lehndorff prowadził podwójną grę. Jako oficer Wehrmachtu i jednocześnie świadek zbrodni na Wschodzie,

dołączył do spisku 20 lipca 1944 roku. Sztynorcki park widział tajne spotkania, a mury słyszały szeptane rozmowy o konieczności usunięcia Hitlera. Heinrich zapłacił za ten wybór najwyższą cenę. Po nieudanym zamachu został aresztowany, a następnie stracony w berlińskim więzieniu Plötzensee. Jego ofiara sprawiła, że Sztynort przestał być tylko niemieckim dziedzictwem, a stał się uniwersalnym miejscem pamięci o moralnym oporze.

POZORNA PUSTKA I ROZPROSZENIE ŚLADÓW

Wjście Armii Czerwonej w styczniu 1945 roku paradoksalnie ocaliło mury pałacu przed spaleniem, które stało się udziałem wielu wschodniopruskich rezydencji. Sowieci potrzebowali kwatery, więc oszczędzili dach nad głową, choć nie mieli litości dla jego wnętrza.

Rozpoczął się czas wielkiego rozproszenia. Wyposażenie pałacu – meble, obrazy, porcelana, biblioteka – zniknęło. Przez dekady sądzono, że wszystko przepadło bezpowrotnie. Jednak „ślady” Sztynortu okazały się trwalsze, niż przypuszczano. W 1986 roku w zamku Kriebstein w Saksonii, w zamurowanym przewodzie kominowym, odkryto skarb. Znalezione tam tysiące przedmiotów ewakuowanych pod koniec wojny, w tym srebra i porcelanę z herbami Lehndorffów. To odkrycie pokazało, że dziedzictwo Sztynortu jest dziś bytem rozczłonkowanym – jego architektura stoi na Mazurach, ale jego materialne serce bije w muzealnych magazynach rozsianych po Europie.

Po wyjściu wojsk radzieckich w 1947 roku nastąpiła epoka PGR-u. Dawne salony zamieniono na biura, w sali balowej urządzono stołówkę, a w innych pomieszczeniach przedszkole i mieszkania pracownicze. Ten okres, choć często oceniany negatywnie jako czas degradacji, pozostawił własne, specyficzne ślady. Olejna lamperia na barokowych ścianach, pozostałości instalacji sanitarnych, zapach nawozów w budynkach gospodarczych – to wszystko jest częścią historii tego miejsca. Dla wielu powojennych mieszkańców Sztynortu pałac nie był zabytkiem, ale centrum życia – miejscem zabaw, pracy, pierwszych miłości. Te wspomnienia stanowią równie ważną warstwę sztynorckiego palimpsestu.

Na ścianach, pod kolejnymi warstwami farby, wciąż mogą kryć się jeszcze inne „autografy” – napisy w cyrylicy wydrapane bagnetami lub naniesione węglem przez żołnierzy Armii Czerwonej. Choć większość z nich została zatarta, stanowią one mroczny podpis epoki „wyzwolenia”, które dla Prus Wschodnich oznaczało koniec znanego świata.

POWRÓT DO ŻYCIA

Przełom nastąpił w 2009 roku, gdy obiekt przejęła Polsko-Niemiecka Fundacja Ochrony Zabytków Kultury, rozpoczynając żmudny proces ratowania zabytku. Przyjęta strategia konserwatorska zakłada zachowanie autentyczności. Pałac ma pozostać czytelny we wszystkich swoich fazach i śladach – od renesansowych fundamentów, przez barokową świetność, aż po blizny XX wieku. Uroczystość z 15 listopada 2025 roku była kamieniem milowym tego procesu. Zakończenie prac przy



Fot. z archiwum autorki, 2025

elewacji frontowej przywróciło budynkowi jego zewnętrzną godność, tworząc ramy dla dalszych działań we wnętrzach.

Współczesny Sztynort to jednak nie tylko plac budowy. To sezonowo tętniące życiem centrum kultury. Festiwale, takie jak STN:ORT czy letnie targi sztuki, przyciągają tu nową publiczność. Port jachtowy, jeden z największych na Mazurach, sprawia, że dawna cisza parku ustępuje miejsca gwarowi żeglarzy. Wyzwaniem pozostaje przekształcenie tego turystycznego ruchu w uważne obcowanie z historią.

KTO MA SZTYNORT?

Ignacy Krasicki mawiał: „Kto ma Sztynort, ten posiada Mazury”. To zdanie, powtarzane przez przewodników jak mantra, nabiera dziś nowego znaczenia. „Posiadanie” Sztynortu nie oznacza już własności ziemskiej. Oznacza odpowiedzialność za pamięć. Sztynort AD 2025 to konstrukcja ze śladów. To renesansowy piec cudem ocalony z gruzowiska, to barokowe stropy odzyskujące kolor, to zrekonstruowany balkon, to cień nazistowskiego ministra i echo socjalistycznej pracy. Każde pokolenie zostawiło tu swój odcisk – od rodu Stango, przez Lehndorffów, żołnierzy dwóch armii, pracowników PGR, aż po współczesnych konserwatorów i artystów.

Dzięki odkryciom ostatnich lat i zamknięciu ważnego etapu prac w listopadzie 2025 roku Sztynort przestaje być niemym świadkiem upadku. Staje się przestrzenią dialogu, w której polska i niemiecka wrażliwość spotykają się pod jednym dachem. Historia tego miejsca uczy nas, że żaden ślad – ani ten piękny, ani ten bolesny – nie może zostać wymazany, jeśli chcemy zrozumieć tożsamość tej ziemi. Kamień w Sztynorcie pamięta wszystko, a my wreszcie uczymy się słuchać jego opowieści. ■

ANNA RAU

Mam tę moc

Zapach to molekularno-emocjonalny most między przeszłością a teraźniejszością, między ciałem a wspomnieniem, między biologią a świadomością. Już w najwcześniejszym dzieciństwie – zanim jeszcze stajemy się w pełni świadomi i zanim świadomie wszystko poznajemy – zaczynamy kodować świat zapachami, powodując w konsekwencji, że później ten dziecięcy kod do nas wraca, czasem wręcz zwalając z nóg. Aromat świeżo skoszonej trawy zawsze będzie niósł nam obraz dawnych letnich dni, a zapach wanilii – albo... ceraty – poczucie bezpieczeństwa i bycia małym. Tak naprawdę jednak wszystko zaczyna się w pierwotnym oceanie wód płodowych, gdy formują się w naszych ciałach pierwsze komórki węchowe, tworząc wraz ze smakiem najpierwotniejszą z pamięci, pamięć stanu ciała, a nie zaczątek analizy lub interpretacji. Prawdziwa moc.

W dzieciństwie zapachy tworzą swego rodzaju atlas emocji. Pierwsze święta pachną igliwem, świecami i ciastem, wakacje nad jeziorem pozostają w pamięci jako mieszanka wody, słońca i mokrego drewna, wizyty na targu zapisują w nas aromaty owoców, warzyw i świeżego pieczywa. Nie zdajemy sobie sprawy, że każdy wdech jest jednocześnie zapisaniem obrazu, dotyku i dźwięku, i że zapach staje się niezbywalną częścią nas – przy pełnej nieświadomości, że coś pamiętamy.

Jako dorośli na co dzień zapominamy o niezwyklej sile zapachów, no może poza wizytami w drogerii czy restauracji... Ale i tak świat hałaśliwie wciąga nas w zobowiązania, rytm i tempo. Zapachy stają się tłem, a my po prostu wchodzimy do mieszkania, robimy kawę, idziemy ulicą... nomen omen nic nie czując. Bo po prostu wdychamy i wydychamy powietrze. Pamięć zapachowa jednak nigdy się nie poddaje i nie zanika. Jest jak grzyb, który przy sprzyjających warunkach, wbrew oczekiwaniom i nadziejom, pojawia się natychmiast. Ot choćby taki

niespodziewany i zaskakujący aromat na ulicy – zapach smażonych racuchów czy pieczarek dolatujący z otwartego okna mijanego domu – i oto znów mamy 6 lat, i staramy się dosięgnąć blatu stołu, którym stoi coś smakowitego, pachnącego olejem. Przeciskający się obok nas w autobusie pasażer, wiodący za sobą nutę perfum, które... nosiła też nasza pierwsza miłość, na chwilę zatrzymuje nasze serce. I setki innych: błotnista woń jeziora w upale, sucha mydlana lawenda, ostra żywiczna pasta podłogowa, świeże pąki topoli, lekko kwaśny metal... I znów staje przed nami powidok rzeczywistości, której już nie ma, i która bez problemu zmartwychwstaje, i śmieje się albo płacze, żywa i prawdziwa. Dlatego też nic tak bardzo jak zapachy w nas nie uderza pamięcią utraty i świadomością przemijania, wzbudzając ból, samotność i tęsknotę, również wtedy, gdy na starość nasz umysł zaczyna się zapadać, a my pogrążamy się we mgłę. Prawdziwa moc.

Możliwość czucia zapachów ma wielką wartość: daje nam dostęp do pełnej (lub choć pełniejszej) własnej historii, czyli do refleksji nad tym, kim byliśmy i kim się staliśmy. Każdy powidok jest dowodem na to, że nasza historia wnika w ciało i zostaje tam na zawsze, co pozwala albo tym się cieszyć albo nad tym pracować. Dzięki zapachowi mamy dostęp do czasu i przestrzeni, pamięci i zmysłów, doświadczenia i wyobraźni jednocześnie. Świadomie z tego korzystając, w jedną sekundę możemy wzbudzić w sobie radość i bezpieczeństwo oraz wrócić do ciepła i miłości – czyli dokonać czegoś, co wydaje się w którymś momencie nieosiągalne. Prawdziwa moc.

I jeszcze jedno na koniec: a może zafundować sobie codzienny mindfulness węchowy? Zatrzymać się i po prostu powdychać, rozpoznać i nazwać zapachy, i pozwolić, by znów zrobiły swoje i zbudowały powidok, który jest pełny życia i emocji. Bo życie tak naprawdę przede wszystkim pachnie i smakuje. ■

KATARZYNA GUZEWICZ

Nikt nie znika bez śladu

Nie chodzę za często do kina, bo filmy wolę oglądać we własnym domu. Ale czasem jakiś głos mi mówi, że warto. I nie chce mi się czekać, aż film wyląduje na streamingu lub płycie (to drugie coraz rzadziej). Jeśli chodzi o seanse w kinie, do tej pory intuicja zawiodła mnie tylko w przypadku „Nie” Jordana Peele’a. Wiedząc o jego wcześniejszych dokonaniach, spodziewałam się czegoś mocnego, odkrywczego i przełomowego, a dostałam ładną wizualnie dwugodziną opowieść o niczym. Ale zostawmy już Peele’a (choć dawno nikt mnie tak nie rozczarował!). Film „Zniknięcia” to najlepszy (według mnie i nie tylko) horror/dramat/komedia/sci-fi kończącego się roku. Bardzo podoba mi się ta niejednoznaczność gatunkowa. I w niej właśnie upatruję sukcesu.

Film opowiada historię, która wydarzyła się w małym miasteczku. Jednej nocy, o godzinie 2.17, siedemnastoro dzieci z jednej klasy wyszło z domu i pobiegło w nieznanym kierunku. Zarejestrowały je kamery zamontowane przy niektórych posesjach.

Dziwności sytuacji dodaje fakt, że były to wszystkie (oprócz jednego chłopca) dzieci z klasy Justine. Ta eteryczna blondynka (w tej roli Julia Garner), nie jest tak niewinna jak może się wydawać: z poprzedniej szkoły wyleciała za romans, nadużywa alkoholu i do tego uwodzi i rozpija będącego w związku abstynenta... Siłą rzeczy, podejrzenia zrozpaczonych rodziców padają na młodą wychowawczynię. Ale czy jej słabości przesądzą o tym, że jest winna tytułowemu zniknięciu? Wspomniana niejednoznaczność filmu to także wielowymiarowość (i wiarygodność) bohaterów. Wychowawczyni ma sporo za uszami, ale nie przeszkadza jej

to martwić się o dzieci ze swojej klasy. Policjant jest porywczy i ma problemy z agresją, ale próbuje rozwiązać zagadkę zniknięcia. Ćpun i złodziej (istotna postać dla fabuły filmu) reaguje na nietypowe rzeczy właśnie tak, jak powinien reagować człowiek z krwi i kości. Może wydawać się dziwne, że o tym wspominam, ale szczególnie w przypadku horrorów, twórcy zdają się często zapominać, że oprócz straszenia na ekranie film powinien mieć dobrze napisanych bohaterów. Dość ciekawe jest to, że film odczytywany jest jako manifest reżysera, Zacha Creggera na temat patologii w dostępie do broni w Stanach Zjednoczonych. Oryginalny tytuł filmu to „Weapons” („Bronie”).

Dlaczego manifest? Myślę, że po obejrzeniu filmu odpowiedź nasunie się sama. Ciekawostką jest to, że prawdopodobnie liczba zaginionych dzieci (17) to liczba poszkodowanych w jednej z najtragiczniejszych szkolnych strzelanin w ciągu ostatnich lat. W 2018 r. w miejscowości Parkland (Floryda) 19-latek wniósł na teren swojej byłej szkoły broń, po czym zabił (17 osób) i ranił (też 17 osób) uczennice, uczniów i osoby tam pracujące. Ja akurat bardzo lubię metafory i nawiązania w filmach. Masakra w Parkland to nie jedyny trop. Biegące dzieci trzymały ręce w charakterystyczny sposób, znany z najśłynniejszego zdjęcia przedstawiającego dziewczynkę po ataku napalmem podczas wojny w Wietnamie. Symbolikę można doceniać (albo i nie, co kto lubi), ale sam film to kawał dobrego, niepokojącego kina. Okrucieństwo i malowniczość niczym z baśni braci Grimm (takich na steroidach) i czarny humor.

Bardzo polecam! ■

AGATA GRZEGORCZYK-WOSIEK

Zastanawiam się czasem...

Zastanawiam się czasem, czy moja prababcia, notując przed stu laty kolejne receptury w niewielkim zeszycie, podpisanym przez jej córkę Krysę „Śpiewnik”, mogła choć przez krótką chwilę pomyśleć, że każda z nich stanie się osią kolejnej opowieści? Śladem prowadzącym w głąb czasu? Kluczem otwierającym jakąś nieznaną wcześniej perspektywę? Czy myśli się o podobnych rzeczach, notując przepis na sernik dyktowany przez sąsiadkę, kupując bułkę do pasztetu w pobliskim sklepie albo parząc herbatę? Czy przychodzi nam to do głowy, kiedy sięgamy po wyświechtaną kartkę z przepisem na świąteczne sucharki albo piernik? Czy może siedząc przy stole, na którym ten piernik, już pachnący przyprawami, przy którym rodzina, a ktoś znowu rzuca z przyzwyczajenia: „piernik jest jak stary kawaler, wszystko przyjmie” — czy wtedy, w tych krótkich chwilach przechodzi nam przez głowę, że to właśnie jest ślad, po którym będą zmierzać kolejne pokolenia? Czy znowu ja, sięgając do nich, jestem w stanie dowiedzieć się czegoś więcej o samej sobie?

Czasem z tego zastanowienia powstawała proza:

Niektóre receptury przetrwały w mojej rodzinie a inne czekają, aż ktoś jeszcze raz zechce je przygotować. Sięgam do nich kolejno. Piekę, gotuję, przepuszczam przez maszynkę i smażę, a z każdym z nich wiąże się opowieść. Czasem jest to jakaś migawka z dzieciństwa, czasem powiedzonko o pierniku lub maku, a kiedy indziej przesąd związany z lepieniem pierogów. Wyciągam je z pamięci i opisuję, a potem siadamy w domu przy stole żeby spróbować smaku sprzed lat. I wtedy sama nie wiem, co jest ważniejsze: ten smak czy związane z nim historie? Pisanie czy gotowanie, kiedy wszyscy kręcą się po kuchni czekając, co z tego wyjdzie? A może ten ŚPIEWNIK, który tak naprawdę jest przepiśnikiem i jego pozostałości kartki?

(Agata Grzegorzczak-Wosiek, *Historia na talerzu*, ze wstępu)

Kiedy indziej znów przepisy stawały się wierszami pełnymi pytań i odpowiedzi, nie zawsze oczywistych smaków.

PRZEPISY ZE ŚPIEWNIKA

Przepisy ze śpiewnika
Wcale nie o śpiewaniu
Choć może tak
Śpiewająco rozpoczęte słowa
Tam puste kartki
Żółte i brązowe
Tu strofy codzienności
Jedna do drugiej nie podobna
Jedną od drugiej tak trudno odróżnić
Przepis to przepis
Trzeba się zastosować
Odmierzać dekadagamy
Porcelanowym odważnikiem
Na zardzewiałej szali
Czasu.

O czym one śpiewają
Wszystkie te strofy
O czym?
Natchnienie nie budzi się tak po prostu
Z siedzenia przy stole

Chyba że ten stół
Pamięta
Chyba że ma blat z desek
Że nogi, wyżłobienia
Dążenia i wzruszenia biesiadników. W sobie
Zapisane. Chyba że tak, więc wtedy każdy przepis
Każde słowo
Notatka na marginesie
Kreska postawiona przypadkiem
Plama brzmiała niezrozumiałą treścią
Bo przecież nie wiesz, z czego ona
I tam gdzie wyblakłe, że można przeczytać tylko początek słowa
Można się tylko domyślać
Wtedy to wszystko
Jest przepisem na
Opisem
Czyjegoś życia.

Wracając jednak do samych przepisów, które nie zawsze były skomplikowane, czasem były to nader proste receptury na sałatkę z ogórków kiszonych i cebulki albo przepisy na jajecznicę z pomidorami. Albo jeszcze na herbatę, bo u moich prababek nawet zwykła herbata stawiała się całkiem niezwykłym napojem.

HERBATA Z SAMOWARA

Samowar po prostu był. Od kiedy pamiętam. Stał na półce z wydętym brzuchem, wśród innych mosiężnych naczyń i wydawał się czymś zupełnie niezwykłym. Przede wszystkim dlatego, że posiadał ruchomy kranik. Tak, fakt kranika wyróżniał go spośród misek do smażenia konfitur i pozostałych garnków o niewiadomym przeznaczeniu. Już wtedy pobudzał moją kilkuletnią wyobraźnię. Niby zabawka, bo przecież nikt go do niczego nie używał, a trochę jak poważny starszy pan, któremu przez lata znudziła się już zabawa w te poobiednie herbatki.

Wyprodukowany został w Tule (Rosja) około 1830 roku, niestety nie posiada tabliczki. Cztery stabilne nóżki trzymają go mocno w pionie, tak by nie przewrócił się ani nie zachwiał, nawet przez przypadek. Mocno dociążony w podstawie, musi dać radę wrzącej wodzie i rozżarzonym węglom lub szyszkom. Brzuch samowara składa się z dwóch części: pojemnika na wodę i komina. Po przeciwległych stronach

„brzucha” – „uszy” z drewnianymi nakładkami, bo rozgrzewa się cały i wtedy trudno byłoby go uchwycić. Powyżej przykrywka, również wyposażona w drewniane gałki, no i jeszcze nakładka na komin, na której stawia się czajniczek, by porządnie zaparzyć herbatę. Ta nakładka niestety zgubiła się w czasie licznych przeprowadzek i obecnie czajniczek musi chwiejnie balansować na zakończeniu komina. Samowar z Tuły używany był przez lata na Kresach, w rodzinie pradziadka Henryka. Jego siostry i matka zabrały go ze sobą, przenosząc się po wojnie do Poznania (gdzie osiadła druga część rodziny). Po kolejnych paru latach przywozły go bratu do Olsztyna i tak właśnie trafił na tę półkę, na której oglądałam go później jako dziecko.

Z trudem podniosłam samowar i ustawiłam pod prysznicem. W czasie czyszczenia ze środka wypadły stare gałzki, kawałki węgla i kartka z kalendarza z przepisem na czyszczenie mosiądzu. Brzuch, od środka wyłożony wieloletnim osadem wapiennym, wygląda jak geologiczne warstwy ziemi. Każda warstwa to kolejne spotkanie przy kolejnej herbacie... i tak od 170 lat!

Zdaje się, że ciągle jeszcze gotów jest wyprodukować około trzech czy czterech litrów wrzącej wody. Tylko jak to zrobić? Spróbowałam najprościej. Nalałam wody i ustawiłam stabilnie na tarasie. Prószył śnieg, a ja do komina nasypałam węgla drzewnego, papier i kawałek podpałki. Płomień buchnął w górę gwałtownie i równie gwałtownie potem przygał. Napowietrzanie metodą płuca-komina nic już nie pomogło. Dopiero dodatkowy kawałek podpałki, warstwa papieru i garść węgla pozwoliły, by całość zajęła się płomieniem. Dreptałam wkoło samowara, który rozgrzewając się, coraz bardziej grał swoją samowarową melodię. Samo war. Sam warzy, czyli gotuje. Ukochany na wschodzie, nie doczekał się polskiej nazwy. Bo jak też ona miałby brzmieć? Samogotowacz?

Do niewielkiego czajniczka wsypałam dużą ilość liściastej herbaty z Cejlonu, która, zalana tzw. kipiatokiem i podgrzewana potem jeszcze na kominie, zamieniła się w niezwykle aromatyczną esencję przepełnioną zapachem i smakiem miedzi i ognia. Esencję taką nalewa się potem do filiżanek i podaje w towarzystwie słodkiej konfitury.

Prababcia w tej zwykłej krzątaniu nie doceniała mocy codzienności. Gdzieś tam w notatkach, innych niż te z przepisami, pojawiała się jej tęsknota do czegoś więcej, inaczej. Nieśmiało wspominała swoją młodość, pełną wojennych zmagani i aktywności w strukturach młodego wtedy harcerstwa czy Polskiej Organizacji Wojskowej. Krajki i odznaczenia wojskowe wydawały się jej ważniejsze niż gotowanie i wychowywanie gromadki wnuków i prawnuków. Tymczasem ja, patrząc z tej odległej, bo 100-letniej już perspektywy widzę, że to właśnie ta niedoceniana codzienność jest najgłębiej zaznaczonym śladem. ■

**PET
RYK
ORA**